

CENA 50 GR.

ROK II. NR. 48 (61)

WARSZAWA

SOBOTA

1 - XII - 1934 R.

# PION

Biblioteka  
UMCS  
Lublin

W 687/31/4

## TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

BRONISŁAW  
PAWŁOWSKI

### IDEOLOGIA POWSTANIA LISTOPADOWEGO

Literatura powstania listopadowego mimo, że jest tak obfita, to przecież nie zawsze daje dość jasną odpowiedź na różne pytania odnoszące się nawet do zagadnień bardzo ważnych i zasadniczych. Nic w tem dziwnego, ponieważ, wobec nieudania się tego ruchu, ma ona w dużej mierze charakter apologetyczny. Wielu z uczestników i głównych aktorów tych wydarzeń zabiera głos, by wobec własnych rodaków i potomności, a poczęści nawet i zagranicy, usprawiedliwić wybuch rewolucji i następne wypadki, — a także by i siebie oczyścić z rozmaitych zarzutów. Literatura ta ma też dużo pierwiastków natury polemicznej. Na emigracji bowiem, podzielonej na kilka zwalczających się obozów politycznych, ścierały się niekiedy bardzo ostro różne poglądy na przebieg tej kampanji, a zwłaszcza namiętnie dyskutowano kwestję, na kogo zważyć winę za jej niepowodzenie i fatalny koniec. W rezultacie, te polemiki i spory doprowadziły do tego, że zamiast wyjaśnić dokładnie przebieg tych wydarzeń, zaciemniły raczej pod niejednym względem ich obraz.

Takie nastawienie literatury odbiło się też wyraźnie na przedstawieniu kwestji ogólnej co bądź zasadniczej — mianowicie samej ideologii powstania. Na pierwszy rzut oka sprawa ta dla nas nie potrzebuje, jakby się zdawało — jakichkolwiek wyjaśnień. Dnia 29 listopada 1830 wybuchła w Warszawie rewolucja, która miała na celu odzyskanie niepodległości i oswobodzenie prowincji zabranych z pod rosyjskiego jarzma. Przy bliższym jednak badaniu czynników genetycznych samej rewolucji rzecz ta napozór tak oczywista przedstawia się zupełnie inaczej, ponieważ ta ideologia kształtowała się dość długo i skryształizowała się dopiero w kilka tygodni po samym już wybuchu rewolucji.

Literatura współczesna daje pod tym względem tylko skąpe wyjaśnienia. O ile bowiem obszernie przedstawia powody, dla których wybuchła rewolucja — o tyle mniej znacznie zajmuje się sprecyzowaniem jej celów i ostatecznych zamiarów. Takie postawienie sprawy w literaturze jest dokładnym odbiciem poglądów, jakie istotnie panowały w tych przełomowych dniach. Zresztą współcześni nie uważali za konieczne szerzej się nad tem zastanawiać, ponieważ z chwilą, gdy ta ideologia została ostatecznie zdefiniowana i ujęta w enuncjację sejmową, tak się odrazu ogólnie przyjęła i takie wycisnęła piętno na toku dalszych wydarzeń — że sprawa ta, jako zupełnie jasna, nie wymagała już bliższych omówień. To też ażeby poznać nieco dokładniej jej genezę i jakie ewolucje przechodziła zasadnicza koncepcja walki o niepodległość, trzeba cofnąć się nieco wstecz.

Utworzenie dzięki zabiegom Aleksandra Królestwa Polskiego zostało przyjęte przez ogół nawet z dość dużym zadowoleniem. Ale już wkrótce rozpoczęły się rozdziewki między Królem a jego nowymi poddanymi — spowodowane głównie okrutnym postępowaniem W. Ks. Konstantego w wojsku i co ważniejsze coraz częstszym łamaniem przez czynniki dla nas wrogie ustawy konstytucyjnej. Rozdziewki te jednak słabem tylko cchem odbijały się w kraju. Przeważał kierunek ugodowy. Opinia ogółu łatwo pogodziła się z istniejącym stanem rzeczy. Nie zdawano sobie sprawy z ogromnych sprzeczności dynamicznych, istniejących między Polską a Rosją. U-

ważano, że związek między nimi jest nierozdzielny. Przyczyniały się do szerzenia tego rodzaju poglądów kielkujące już podówczas prądy słowianofilskie — u jednych, nadzieja wzbogacenia się w związku z zamożną Rosją — u drugich, a wreszcie niepodobieństwo mierzenia swych sił z tak potężnym przeciwnikiem — u innych.

Niezadowolonych z tego ustawicznie pogarszającego się położenia politycznego — a zarazem chcących temu w jakiś sposób przeciwdziałać — było zrazu niewiele. W dodatku należeli oni z małymi wyjątkami do sfer niemających jakiegokolwiek wpływu na życie polityczne, czy wogóle na naród, ponieważ byli to niższych stopni oficerowie i ucząca się młodzież. To też mjr. Łukasiński, zakładając naprzód Wolnomularstwo Narodowe a następnie organizując Towarzystwo Patriotyczne, w trafnej ocenie ogólnej sytuacji i słabości tych związków nie układał jakichś nazbyt radykalnych, a co z tem idzie i ryzykownych planów. Początkowo w Wolnomularstwie Narodowym rozwijał myśl budzenia, umacniania i szerzenia „narodowości” tak w samem Królestwie, jak i w innych prowincjach należących ongiś do Rzeczypospolitej, zamierzając dopiero znacznie później, gdy już związek ten nabierze większego znaczenia moralnego i wzrosnie w siły, a agitacja przezeń szerzona należycie przyciśnie grunt i nadejdzie odpowiedni moment, — wystąpić czynnie w celu zjednoczenia wszystkich ziem.

W Towarzystwie Patriotycznym bardziej już sprecyzował on cele tego związku. I tu jako jedna z wytycznych pozostała tamta idea złączenia kiedyś w jedną całość wszystkich rozszarpanych prowincji polskich — ale do tego dodał drugi, bardziej aktualny problem — obrony konstytucji przez odpo-

wiednie uświadomienie i zorganizowanie opinji publicznej. Realizacja tego celu miała odbywać się na drodze legalnej — nie wykluczała ona jednakże w zupełności i zbrojnego wystąpienia, w razie gdyby zawiódł tamten pokojowy sposób.

Istniała więc w tych pierwszych związkach idea zjednoczenia wszystkich ziem Rzeczypospolitej i uzyskania dla nich niepodległości, ale urzeczywistnienie tej idei miało nastąpić w czasie bliżej nieokreślonym, w każdym razie jeszcze dość odległym. O osiągnięciu tych zamierzeń drogą rewolucyjną narazie nie było mowy. Łukasiński unikał jej, pomny na przestrogi, wypowiadane ongiś przez duchowego inicjatora tych związków, gen. Dąbrowskiego, oraz widząc niedostateczny stopień przygotowania tych pierwszych organizacji do rychłego wystąpienia czynnego — ale liczył się też i z tą ostatecznością i nie wyrzekał się jej w zupełności.

Następcy Łukasińskiego, którzy po jego aresztowaniu objęli kierownictwo Towarzystwa Patriotycznego, szli się nadal tych wskazań. Ale gdy część ich poszła również pod sąd, wówczas pozostali jeszcze na wolności członkowie tego stowarzyszenia z powodu coraz trudniejszych warunków dalszej akcji dość znacznie zredukowali jej zakres, a co najważniejsza, zrezygnowali narazie przynajmniej z swych aspiracji niepodległościowych. Ta ewolucja poglądów, odbiła się też w sposób bardzo widoczny i na celach związku założonego w r. 1828 przez Wysockiego w szkole podchorążych. Mimo ostrych sprzeciwów grupy radykalniejszych członków przevorsował on, idąc w tem za wskazówkami właśnie epigonów Towarzystwa Patriotycznego program, w którym wysunął jako naczelne hasło nie dążenie do niepodległości, ale tylko obronę ustawy konstytucyjnej.

W realizowaniu tych zresztą skromnych zamierzeń Wysocki starał się unikać gwałtownych działań — rewolucyjnych środków, podobnie zresztą jak poprzednio Łukasiński. Droga legalna, różne petycje i wnioski, zgłaszane na forum sejmowem, oto sposoby, jakich miał zamiar używać, zresztą nie osobiście, gdyż do tego nie posiadał ani żadnych podstaw, ani odpowiedniego stanowiska, lecz za pośrednictwem wciągniętych do związku posłów sejmowych i wybitniejszych polityków. Z tego też powodu nie dopuścił on do zamierzonego wybuchu rewolucji podczas koronacji Mikołaja na króla polskiego, a następnie podczas pobytu cara w Warszawie w r. 1830, z okazji odbywających się posiedzeń sejmowych.

A jednak mimo takie stanowisko Wysockiego rewolucja wybuchła już wkrótce. Zdziały to, lub przynajmniej w bardzo dużym stopniu przyczyniły się do tego czynniki inne, a przede wszystkim budząca się właśnie wśród szerszych warstw narodu idea niepodległościowa. Czynnikiem ten musimy tem mocniej uwydatnić, ile że obecnie coraz częściej spotykamy się w historii z poglądem materialistycznego tylko ujmowania zagadnień dziejowych. Ten pęd do wolności, tkwiący w stanie potencjalnym w duszy narodu był wszak główną podniętą naszego porwania się do broni w latach 1794, 1830, 1863 i 1914. Nieraz wyobrazicielem

### T R E Ś Ć:

EDWARD ASSBURY  
METAMORFOZY

WARSZAWSKIE

STANISŁAW

SZCZUTOWSKI

S Z T U K A

POPWSTANIOWA

KONRAD GÓRSKI

O T Ę C Z Y

NORWIDA

CYPRJAN NORWID

T Ę C Z A

NOWY ETAP

W STOSUNKACH

POLSKO-WŁOSKICH

FR. MACZYŃSKI

WIKARÓWKA

J U L J A N

KRZYŻANOWSKI

BERENTOWE

OPOWIEŚCI

T. MAKAREWICZ

SAMORODNY

TEATR W SZKOLE

T. UNKIEWICZ

K Ł A M L I W E

ENUNCJACJE

BRONISŁAW

PAWŁOWSKI

IDEOLOGIA

POWSTANIA

LISTOPADOWEGO



Sypanie łotów na Pradze w 1830 r. według współczesnej litografji w zbiorach Biblioteki Rapperswilskiej.

jego, jak w latach 1830 i 1863, jest bezimienny tłum, który dopiero w toku wydarzeń statecznie precyzuje swe zamiary i z pośród siebie wylania kierowników. Niekiedy zaś, jak w r. 1794 i 1914, emanacją jego stają się jednostki, które jak Kościuszko i Piłsudski, od początku ujmują ster całej akcji w swe dłonie i wyciskają na niej swe indywidualne i niczem niezatarte piętno.

Owóż w dobie Królestwa Kongresowego — idea niepodległości — mimo zaniku jej w organizacjach, które w pierwszym rządzie powołane były do jej szerzenia, mimo wzrastającej dobrobytu i coraz większe przystosowywanie się do panujących warunków niektórych warstw, mimo zwiększający się ucisk ze strony czynników obcych (tajna policja, cenzura), — przecież budzi się i rozwija.

Bardzo ważnym czynnikiem, działającym w tym względzie ożywczo i podniecająco jest poezja romantyczna z Mickiewiczem na czele. A obok tej poezji przepelnionej duchem patriotycznym, nie mało jeszcze do urobienia opinii publicznej w tym kierunku przyczyniły się rozgrywające się podówczas wypadki politycznej natury. Tu na pierwszym miejscu wymieniać należy posiedzenia sądu sejmowego w sprawie oskarżonych o zbrodnię stanu płk. Krzyżanowskiego i innych członków Towarzystwa Patriotycznego. Sąd ten miał rozstrzygnąć kwestję obchodzącą cały naród i pod każdym względem zasadniczą co do kształtowania się na przyszłość stosunków polsko-rosyjskich, mianowicie, czy zbrodnia jest odrodzenie ojczyzny i dążność do przywrócenia jej dawnych granic. Owóż członkowie sądu, senatorowie, mimo nacisku, wywieranego na nich przez Mikołaja, pragnącego wyroku skazującego, niemal jednomyślnie dali na to pytanie odpowiedź negatywną, uwalniając oskarżonych od stawianych im w tym względzie zarzutów. Proces ten był nietylko probierzem sposobu myślenia dla samych sędziów, — ale ze względu na licznych oskarżonych, i rozważane w przewodzie sądowym zagadnienia, wzbudził też bardzo duże zainteresowanie wśród szerokiej sfer. Niezadowolone Mikołaja z tego wyroku, internowanie przez niego sędziów w Warszawie, to wszystko było bardzo dobrym środkiem agitacyjnym. W tym czasie w opinii publicznej idea niepodległości.

A dalej klęski rosyjskie poniesione w wojnie tureckiej, bodaj osłabiły wśród wielu wiarę w niezwykłą potęgę Rosji. Wreszcie rewolucje, wybuchłe w krótkich odstępach czasu naprzód we Francji a potem w Belgii, były czynnikiem wysoce podniecającym. Jesienią 1830 r. w Warszawie, skutkiem tyłu i tak różnorodnych podnieciapanowało wrzenie. Opinia publiczna była naelektryzowana zwłaszcza wypadkami francuskimi. To wrzenie odbiło się też i na działaniach związku, kierowanego przez Wysockiego. Dotąd słabo rozwijający się w tym czasie, szerszą rozwinął działalność. Wiadomości o wyruszeniu armii polskiej na zachód — jako straży przedniej sił rosyjskich, idących na stłumienie rewolucji francuskiej, oraz aresztowania coraz liczniejsze, dokonywane przez tajną policję wśród związkowych — doprowadziły wreszcie do wybuchu. Ale należy tu podkreślić, że związek podchorążych nie odegrał w tym wypadku roli głównego motoru, lecz raczej był narzędziem, był wypadkową sił innych, zewnętrznych, na opinię publiczną działających. Swem wystąpieniem wywołał wprawdzie rewolucję, ale do pokierowania nią nie był zupełnie przygotowany, ponieważ nie posiadał żadnego programu co do dalszych działań.

Skutkiem tego główni sprawcy rewolucji zaraz tejże samej nocy znikli — a kierownictwo dalszej akcji dostało się w ręce zupełnie obce, które wypaczyły znacznie i skierowały na fałszywe tory cały ten ruch. Związek ciężył wtedy kierunek układowy — widzący w rokowaniach z Mikołajem jedyne wyjście z tej niejasnej sytuacji.

Sprawę od początku fałszywie postawioną, skierował na właściwe tory dopiero sejm, ogłaszając w swym manifestie z 20 grudnia 1830 r., powstanie jako narodowe, i zapowiadając, że tak długo nie złożą oręża przodków: „póki nie wywalczy niepodległości... i póki nie połączą się z braćmi ujarzmionymi przez dwór petersburski, z tego jarzma ich nie wyzwoli i swobód swoich, wolności i niepodległości uczestnikami nie uczyni”.

EDWARD ASSBURY

# METAMORFOZY WARSZAWSKIE

W bibliotece Ordynacji Zamojskich wśród ksiązek i pism „starej daty” znajdują się nieznanne rękopisy bajek politycznych Juliana Ursyna Niemcewicza. Naprawdę godne szczerzego zainteresowania. Z sugestywną mocą ożywają one galerię wybitnych osobistości Królestwa Kongresowego. Przypadają bowiem na „czas gorący”: rok 1820 — moment przed walną batalją, jaką opozycja patriotyczna zamierza stoczyć z rządem — na drugim sejmie Królestwa. Przedmiotem zatargu jest fala reakcyjna, biorąca w rządzie górę, wzmagające się wpływy rosyjskie, ucisk po-



Joanna Grudzińska

datkowy oraz szaleństwa W. Księcia. W tym celu społeczeństwo polskie rozwija energiczną agitację. Patronuje jej nielada mistrz, bo J. U. Niemcewicz — cięta, sarkastyczna, niezrędko zaprawiona wyborynym humorem, impulsywną bajką polityczną. Apologuje, poczęte w gniewie i pasji — uderzają śmiało, mocno i dowcipnie. Najboleśniej jednak odczuje ich siłę — Wielki Książę Konstanty.

Bo oto niebawem po nieoczekiwanych zaślubinach Cesarzowej z panną Joanną Grudzińską, przyszłą księżną łowicką, niejaki jastrząb wraz z gęsią — pozwalają sobie na wyprawienie weselnych godów. Wnet po ogrodach, kafenhausach, domach zajezdnych i dworach poczyna krążyć, podawana z ust do ust, bądź przepisywana na świstkach — dowcipna bajeczka („Gęś i jastrząb”), wywołując huragany śmiechu. Nie omija nawet — o zgrozo — pałac brühlowski, siedziby młodocieńców; a oto jej treść — poprzedzona przysłowiem o potrzebie kochania:

„W tyle małego dworku,<sup>1)</sup>  
Po sadzawce, czy jezioru  
Pływały gęsie w dosyć znacznej kupie;  
Były tam młode i stare,  
Białe, srokaty i szare.  
Lecz wszystkie porządnie głupie.

Tuż obok nich, za dworkiem

„Przy teyże wodzie, na brzozie wysokiej  
Siedział jastrząb bystrooki.

Kiedyś, podjadłszy sobie, spostrzegł pospolitą  
pół szarą — pół białą gęś na stawie;

„Nasz jastrząb, jako zwykle gachy,  
Zaraz do niej w łoperczakii:  
Brwi swe najeża, napusza swe skrzydła,  
Słowem miał postać straszyla.

Spoczątku ten widok zatrwożył gęś,

„Lecz się kawaler tak pięknie ułożył,  
Takie jej palil ofiary,

a zresztą jastrząb — to nie były gęsiory, ale  
krewny orla (Cesarza Aleksandra).

„Cóż za honor, jakie szczęście,  
Takie zamęcie!

Konkury nie trwały długo.

„I wraz ujrzano w najpierwszą niedzielę  
Jastrzębia z gęsią wesele.

<sup>1)</sup> Panna Grudzińska, jak wiadomo, była pasierbicą marszałka dworu — Bronca i z tej racji zamieszkiwała w Zamku Królewskim.

Wyniesienie, bogactwo, wysokie pokrewieństwo przewróciło w gęsinę głowce do tego stopnia, iż odtąd „wszystkie jastrzębia nieoty brała za wielkie przymioty”;

„Ona, co miała tyra na łagodzie,  
Od krwawych czynów odwozicie,

uważała go za wzór dobroci, za tego, który wreszcie do ptasiego rodu porządek wprowadził.

„Jego w tem wszystkim robota,  
Prawdziwa dusza w nim złota,  
Jakie pogodne czoło, jak słodkie spojrenie,  
Czystsze nad kryształ sumienie.

On jeden między łotrami  
Czuwa nad nami.

Gęsi, słysząc, co niedawna ich przyjaciółka  
plecie, orzekły zgodnic, iż jej „coś się w  
głowce pomieszalo”. „Jako też wkrótce, jak  
często na świecie” bywa, jastrząb czy to ze  
złości, czy z gorącej miłości przeszył szponami  
serce żonine;

„O biedna gęsi, próżność cię zgubiła,  
Gdybyś z równemi chodziła,  
Gęgała sobie jak one,  
Szczypała trawki zielone,  
Zylałaby dotąd, w wodzie się pluskała,  
Może i gąsienia miała.  
Ale, żeś sobą jedynie zajęta,  
Niedbała, że inne cierpiały ptaszęta.  
Zginęłaś: własna zgubiła podpora,  
Nielepiej było pójść ci za gęsiorya”.

„Dziwiono się nadzwyczajnie — pisze Fr. Skarbek w swych pamiętnikach — gdy zapowiadane małżeństwo (W. Ks. Konstantego z Joanną Grudzińską) doszło do skutku i ubolewano nad smutnym położeniem zaślubionej, której nie wróżono pomyślnego losu. Tymczasem te przepowiednie wcale się nie sprawdziły”. Swobodnie igrająca z możliwymi, pierwsza nielegalna bajka polityczna okazała się fałszywym protokolem.

Jesienią tegoż roku (a więc jeszcze 1820) z racji udzielenia przez cesarza Aleksandra — W. Księciu Konstantemu „carte blanche” na działalność niekonstytucyjną w Królestwie — ukazuje się druga wielce charakterystyczna bajka.

„Bądź zdrow, mój bracie — rzekł Lew tygrynowi,  
W daleką muszę oddalić się puszczę<sup>2)</sup>.  
Twojej słodyczy, twemu rozsądkowi —  
Zwierząt tej kniei poruczam ci tłuszczce.  
Te żubry niegdyś tak srogo grożące,  
Dzisiaj pokorne jakgdyby zające.  
Możesz je męczyć z rana do wieczoru.  
Byleś do mego nie mieszał się boru.  
W tem tajemnica cała się ukrywa,  
Ze się niewola swobodą nazywa.

To rzekłszy, prętem wspięli się do góry,  
A wyciągnawszy łapy i pazury,  
Tak się obydwu czule całowali  
I tak wrzeszczeli, kwiczełi, parzchali,  
Iż rzekłbyś, że się rozedrą na polu,  
Lecz to były pieszczoty i humor wesoly”.

(Bajka bez tytułu J. U. Niemcewicza).

Jastrzębia natura, szkarada, nieczuła poczwarą, „co brwi najeża, napusza swe skrzydła” — tutaj ulega metamorfozie w tygrysa<sup>3)</sup>. Czyż można doszukać się trafniejszego porównania, wierniejszej kopji — Konstantego<sup>4)</sup>.

Tygrys, nie mając wojskowego ducha, nawet osobistej odwagi, pałał miłością nie do wojaczki, pełnej trudów, niewygód, poświęceń, lecz do żołnierki koszarowej, paradnej. Przyczem za najdrobniejsze uchybienia wyznaczał hańbiące kary, policzkował oficerów,

<sup>2)</sup> Mowa o wyjeździe Cesarza do Opawy na doroczny zjazd monarchów.

<sup>3)</sup> Konstanty do Aleksandra: „Wiesz, że silny jak tygrys”, „Bracie! bracie z tygrysem nie zaczynaj wojny”. („Kordjan”, akt III, str. 290 i 295. Wyd. Biblj. Arcydziel Literatury, 1930).

<sup>4)</sup> Patrz Szymon Askenazy: Łukasinski, I, 48.

znieważał generałów na Placu Saskim, porywał się i na cywilów, którzy mu w drogę weszli. Niemożliwością było wytrzymać w takich warunkach. To też niejedni, finansowo niezależni, występował z armji. Biedniejsi, zdani na łaskę losu i grymasów W. Księcia — pozostawali. Widziano wtończas oficerów (kpt. Wodziński, Biesiecki, Nowicki), którzy woleli sobie życie odebrać, niż narazić się na skutki niesubordynacji.



W. Ks. Konstanty

Na tle tej depresji ogólnej i zniechęcenia wyrasta, wojująca o lepsze jutro, świetna bajka niemcewiczowska „Laur i kaplon”. Sentencja, poprzedzająca fabułę, głosi, że:

„Wszystko podpada odmianie,  
Ten, co dzisiaj jest na górze,  
Gdy czarne ugodzą burze,  
Na ostatnim szczeblu stanie.

Ludzie, zwierzęta, rośliny — wszystko podlega odmianie i „nikt się z przeznaczeń swoich nie wybiega”. Do wypowiedzenia uwag powyższych nakłoniła autora zasłyszana rozmowa kapłona z laurem. Napuszony kapłon zuchwale naśmiewał się z lauru:

„Zal mi ciebie, nieboraku,  
Jakieś sparszował, jak mina nie tęga,  
Zaden z ryocery, zaden z wielkich ludzi  
Po gałązkę twą nie sięga.

Dzisiaj bowiem nie liść laurowy, lecz ogon kapłoni pobudza do sławy i on „bohaterom wieńczy skronie”. Peroruje więc dalej:

„Będziesz mi gadał o twych Termopilach,  
Czemże jest Sparta przy Judkach,  
Wasilach,  
Przypomnij może Kapitolu skałę,  
Igrzysk Pytyjskich zapomnianą chwałę.  
Milcz, laur odpowie, z twym próżnym zarzutem,  
Gdybyś przynajmniej był jeszcze kogutem,  
Ale kapłonom. — —

Lecz nie przeczę wcale  
Dzisiejszym czynom i dzisiejszej chwałie  
Dość piórek twoich!”

Małym i podłym one wystarczą. „Czem była żerdź z kapeluszem władzy dla szlachetnych ziomków Tella — powie M. Mochnacki — tem samem był dla nas kapelus z białem piórom na głowie Konstantego Pawłowicza”. Wracajmy do bajki. Laur zdobywa się na patos i wyniosłem słowem przemówi do kapłona, to jest W. Księcia.

„Zdrętwiałym hufcom, zausznikom płaskim  
Wręcz kapelusze na dziedzińcu Saskim:  
Tam twoje pole; nie rozumiej przecie,  
Ze ta systema trwać będzie na świecie.  
Narody wpośród uniosłych zapędów  
Długo przechodzą od błędów do błędów,  
Ale wracają na prawdy tor wieczny,  
Ach! jestem tego aż nadto bezpieczny.

Poeta, a z nim laur, ufnie poglądają w przyszłość:

„Wróci się czas ten, gdzie nie piórka twoje,  
Ale niezwiędłe nigdy liście moje  
Nagrodą będą: wtenczas wolność święta  
Dzikich uroję potargawszy pęta,  
Niewyprężonym niewolnikom wszędzie,  
Prawdziwej cności udzielać mię będzie!”

Bajka „Laur i kapłon” — poszumem pieśni patriotycznej, manifestującej uczucia autora do zarzuconych chwilowo a nieopatrznie wartości dnia wczorajszego — nie powstrzymała oczywiście napowu reakcji. Energiczny protest patriotów oburzył cesarza Aleksandra.

Opozycję zgniciono. Pousuwano liberalów z komisji rządowych... Ale długo, długo jeszcze między ludem, po wsiach i w wielkomiejskiej plocie krążyły popularne imiona Księżnej Łowickiej i Konstantego.

wewnętrzna, oraz postawą społeczną stanowi polski samostny dorobek, unikat w sztuce współczesnej.

Dotąd jednak ziarno słowem Wyspiańskiego posiane nie przyjęło się (jak sam przewidywał) nawet w rodzimej materialistycznej kulturze polskiej. Społeczeństwo współczesne naogół go nie zrozumiało. Odczuło i uznało wielkiego artystę, sądząc, iż tworzy niezrozumiałe, „bo z wnętrza „nagiej duszy”, pod osłoną hasła „sztuka dla sztuki”. Hasła, którego cała twórczość Wyspiańskiego była od początku do końca najbezwzględniejszym, fanatycznym przeczeniem.

Nie pozostała mimo to bezpłodną społeczna służba sztuki Wyspiańskiego. Wprawdzie nie znalazła, bo znaleźć nie mogła bezpośredniego oddźwięku wśród mas. Nie była stworzona dla „małych ludzi i małych dusz”, nie zdołała ich porwać na swój wysoki Olimp, nie przekształciła w kohorty dziejotwórców na miarę grunwaldzką. Wsparta wszakże o Matejkę i starszych trzech wieszczów, popierana przez Sienkiewicza, dopełniła tego, co jedynie możliwe było; a zarazem możliwe tylko w Polsce. Z łona powstającej materialistycznej demokracji polskiej wyodrębniła i wysoko ponad jej poziom wyniosła duchowo sobie krewną, nieliczną grupę przodowniczą. Ona stała się odbiciem społecznym, wcieleniem żywym, najplomieniej szych tęsknot popowstaniowej sztuki polskiej, a zwłaszcza Wyspiańskiego, i jej ostatniego słowa. Przez nią to Słowo zmartwychwstania, przekute na rycerski Czyn, stało się Ciałem niepodległości.

Znamienny jest skład tej grupy. W części oparła się na siłę żywotnej polskiego ruchu klasowego, zwłaszcza, iż w kulturze materialistycznej najwięcej zachował on romantyczny „rewolucyjny ogień walk wolnościowych połowy ubiegłego wieku. W części innej grupa bojowo-niepodległościowa objęła znaczny odsetek starej rodowej szlachty polskiej, oraz przedewszystkiem artystów różnego autoramentu. Był to żywioł z krwi i tradycji, lub z natury duchowo-arystokratycznego powołania, najżywiej odczuwający pobudki heroiczne, a najbardziej świadom idej niepodległościowej, wieszczonę przez sztukę. Pierwsza część grupy, ludowo-proletariacka, strzelecka, wносиła w nią energię materialną podniesioną duchowo do heroizmu, część druga wносиła duchowy porыв heroizmu zmaterializowany w czynie. Z Bożej Łaski na czele tej bojowej gromady stanęła potężna indywidualność Wodza, starej rycerskiej krwi, podobnie z jednego granitowego bloku wykuta, jak jej poprzednicy w wizji i słowie. Trzej wielcy poeci międzypowstaniowi wszystką swą żywiołową moc twórczą zużyli na to, by ugruntować wiarę w niepodległość. Matejko poświęcił swą sztukę na to, by dać rzeczywiste widzenie niepodległości. Sienkiewicz na to, by wiarę i widzenie uodostępnić i rozpowszechnić. Wyspiański — by wizję i słowo przekuć w żywą rzeczywistość czynu. Piłsudski zaś swoją moc twórczą obrócił na to, by wiarę, widzeniem i słowem obwieszony heroiczny czyn — materialnie podjąć.

W ten sposób powstało przedziwne zjawisko bojowej elity niepodległościowej polskiej, równie odosobnione i wyjątkowe w łonie wielkiej wojny, jak sztuka Matejki i Wyspiańskiego w kulturze materialistycznej powszechnej. Rycerska gromada podjęła się wcielenia mesjanicznego słowa o zmartwychwstaniu, przejęta była przeto swoistą mistyką czynu. Później (a w zamyśle twórczym Wodza niewątpliwie od samego początku) zaważył ów czyn również materialnie w olbrzymim przewrocie, który wyłonił nową cielesną powłokę państwa polskiego. Skupił je, odparł groźne natarcie odwetowe wschodu, przemożnie wpłynął i wpływa na dalsze losy kraju. Późniejsza rola dziejowa utwierdziła elitę Piłsudskiego jako mocny tron niepodległości.

ADAM SKWARCZYŃSKI

## MYŚLI O NOWEJ POLSCE

Cena zł. 4.—

Książka jest do nabycia w Administracji „Drogi” (Warszawa, Chmielna 33 m. 5, tel. 2.75-34. Konto P. K. O. 0.518) i w księgarniach stołecznych i prowincjonalnych.

STANISŁAW SZCZUTOWSKI

# SZTUKA POPOWSTANIOWA

Romantyzm polski począł się z powstania listopadowego i odeń przejął w ręce sztuki służbę społeczną idei niepodległościowej.

Z natchnień, które klęskę powstania listopadowego przekształciły w krwawą ofiarę odkupującą ducha narodu przed spodzeniem niewoli zrodził się wtórny heroiczny czyn, znów wyrokem losów przekształcony w krwawą ofiarę — powstania styczniowego. Oba one wplotły się w cierniowy wieniec cierpienia, które od konfederacji barskiej przez powstanie Kościuszkowskie i legjony Dąbrowskiego oczyszczało psychikę polską ze śmiertelnej gangreny czasów saskich i Stanisławowskich. Ze ta krzyżowa droga pokuty konieczna była dla odzyskania godności historycznej i moralnej narodu, o tem wątpić trudno, nawet niezależnie od mistyki mesjanicznej.

Zajmowała się ona raczej ówczesną rzeczywistością i przyszłością, niżli ongi dostojną, lecz pokalaną grzechem, narodową przeszłością. Mocą wieszczej niemożliwości ukazywała w końcu drogi krzyżowej zmartwychwstanie, i to nietylko w nieśmiertelnym duchu, lecz w doczesnym ciele państwowem; zmartwychwstanie w „wielkiej wojnie ludów”, która będzie „ostatnią w chrześcijaństwie”. Im sroższe było poniżenie powstaniowe, tembardziej nieodzownem przeciwko niemu antidotum stawała się ta wiara, zarazem coraz trudniejsza do podtrzymania w atmosferze nadciągającego materializmu.

Wytworzyło się stąd dla Polski położenie tragiczne i skomplikowane. Na zachodzie padł właśnie wtedy romantyzm śmiercią niemal samobójczą z ręki materializmu, któremu panowanie sam wywalczył. Mógł i musiał tam upaść, gdyż po zwycięstwie stawał się nietylko zbędnym, lecz wręcz krępującym dla dalszego rozwoju materializmu. W Polsce jego brat bliźni paść nie mógł, gdyż przez mesjanizm pozostał nieodzownym źródłem mocy przetrwania. Lecz po daremnym, styczniowym porywie przemocą przybity, odrwać się począł od ziemi, dekadentyzować; już to w beznadziejnym „kukcie grobów”, już w hałaśliwie płytkiej „tromtadacji”. Równocześnie z triumfalnych pól zwycięstwa na zachodzie materializm żywiołowo wdzierał się na smutne pobojowisko wolności w Polsce.

Na szczęście jednak młodzieńczy jeszcze wówczas materializm niósł ze sobą prądy różnorodne, mieszanę, bezduszną wprawdzie ale niepozabawioną częściowo dodatniej energii społecznej, tej samej, która powodowała rozwój materialny zachodu. Pozytywizm przeto, kapitalizm, socjalizm, nacjonalizm, realizm artystyczny daly się asymlować z korzyścią dla sił żywotnych narodu. Naturalizm zaś i dekadentyzm podkopywały je i zatrwały. Był lub niebył narodowy zawisł od tego, jaką ostatecznie postać, zdolną lub niezdolną do heroicznego niepodległościowego czynu przybierze psychika zbiorowa polska po skojarzeniu ideowego importu z rodzimą wiarą mesjaniczną, załamana w kult grobów, rozdeptana w trójjolażizm. Pytanie to znów, jak między powstaniami, rozstrzygnięte zostało przez społeczną służbę sztuki. Uzdrowiła ona, przystosowała do nowych warunków skarb romantyzmu i przywracała mu moc społecznie twórczą.

Realizm w połowie ub. wieku likwidujący w malarstwie zachodnim ostatnie style zbiorowe, klasyczny i romantyczny, stał się w rękę Boecklina, Burne Jonesa i Moreau narzędziem potężnej wyobraźni (literackiej powiedzmy), która ratowała malowaną poezję przed gwałtem materializacji. Ratowała ją podobnie jak poeci pisarze przez bunt przeciwko rzeczywistości, przez oderwanie sztuki od życia, przez uniesienie jej w krainę baśni. Była to duchowo pozytywniejsza, niż u pisarskiej trójcy zachodnich wieszczów zagłady, Verlainé'a, Beaudelaire'a, Maeterlin-

cka, ponadżyciowa kontynuacja romantyzmu: epicka u Boecklina, dramatyczna u Wagnera, liryczna u prerafaelitów.

W Polsce realizm sprzymierzony z fantazją wszedł w społeczną służbę niepodległościową. Stało się to za sprawą Matejki. Mocą potężnej wyobraźni (literackiej powiedzmy) oderwał on swą sztukę od popowstaniowej rzeczywistości, pokoleniu stratomanych karłów, czczących groby, cisnął w twarz zjawę niepodległości sprawowanej przez tytanów. Zjawę o tak niesłychanej sile dramatycznej wyrazu, iż podobieństwa dla niej trudno znaleźć na całym obszarze dziejów sztuki — poza Szekspirem. Wtórował Matejce Sienkiewicz w trylogii, przystępniejszą dla szerokiego rzesz wersją heroizmu. Nie opowiadał kształtem lecz malował słowem szlachetką demokracji XVII stulecia w zwycięskiej walce z przemocą; wywarł więc wpływ rozleglejszy, choć mniej głęboki niżli Matejko. Obaj stworzyli styl, który nazwałby można polskim realizmem bohaterskim.

Bezpośrednią funkcją społeczną tej sztuki było cucić omdlałą energję życiową w narodzie. Cofający się po powstaniach na światowe pozycje heroizm romantyczny gwałtem realizmu Matejki ściągnięty został na ziemię i uzmysłowiony w nadludzkiej wręcz skali. Matejko oddziaływał społecznie dość wąsko, dostępny był tylko dla oczu dość wrażliwych i dusz dostatecznie pojemnych, by wchłaniać mogły moc ekspresyjną jego wzrokowej dramaturgji. Tem głębiej jego arystokratyczny, bohaterski realizm zapadł w wielką duszę Wyspiańskiego. Tem plomieniej się rozgorzał w niej żądza przestoczenia wizji w realne bohaterstwo czynu.

Wyspiański przyszedł artystycznie na świat w chwili gdy ledwo kielkująca ruń żywotnej siły pokolenia zawichrzona została chmurą gazów trujących od strony zachodniego materializmu. Kulturę polską coraz głębiej przenikać zaczęło tchnienie dekadencji. Do walki przeciw niepojętym tytanom Matejki, wystąpiła zalkoholizowana wyobraźnia Przybyszewskiego, szerząc kult duszy „nagiej” i mistycyzm „niżej pasa”. Choć „młoda Polska”, wyhodowana na zachodnich wieszczach zagłady, interesowała się bardziej kultem ducha „światłonośnego” (Lucifer) niżli „kultem grobów”, jednak wtórowała mu społecznie w głębokiej harmonji rozkładu. Materializacja życia indywidualnego rozwijała się bujnie w atmosferze warszawskiego pozytywizmu i krakowskiego trójjolażizmu. Materializację życia społecznego poczynaly wszczepiać w narastającą potęgę mas demokratyczne doktryny: klasowa i narodowa. Prądy te podobnie jak na zachodzie pędziły wprawdzie „świeżą ruń” energii czynu ale tłumily w niej ducha. Nic nie wydawało się dalszemu od rzeczywistości polskiej na przełomie dwóch stuleci, niż praktyczna realizacja niepodległościowego heroizmu.

Pierworodny syn duchowy Matejki, z jego widzenia historii poczęty a bohaterem, zwłaszcza Skardze i Rejtanowi, krewny, Wyspiański wyl się z odrazy wobec otaczającej go rzeczywistości polskiej, jak Konrad nad misą robactwa w Wyzwoleniu. Natężenie kontrastu pomiędzy matejkowską wizją Wernyhory a bezszelestnie pełną nagością duchową tego rojowiska drobnoustrojów ludzkich, które wylaniała młodociana demokracja polska było istotnie straszliwe. Nad przepaścią, dzielącą ten powstający nowy świat od bliższego już nowego świtu, Wyspiański rozpiął swoją twórczą duszę. Z męki tego rozkrzyżowania zaczerpnął siłę wybuchową reakcji. Jego dramaturgja poetycka wylała się z krateru natchnień jak niszcząca żywioł przeciwko niemocy, która hamowała wcielenie nadludzkich zjaw Matejki. Oslupiałem bezradnie społeczeństwo wdzierał się Wyspiański w zdrętwiałe trzewia, gryząc je, szarpiąc w nadziei ocucenia. Porywał

się, zmagal, szalał przeciwko wszystkiemu, co mu się zdało ostoją nienawistnego zła. Nie szczędził nawet wielkiego mesjanizmu, wielkiej sztuki, wielkiej przeszłości, gdy je o wpływy rozszczepiające moc ducha i moc czynu żywego pokolenia posądził. Lzył, plwał, policzkował, kopał jak tyran — autokrata, nierozumiejąc o co chodzi, biedne ludzkie stado. Sam tracił przytem niekiedy wewnętrzną równowagę, przesuwal się blisko rozpacz, nie zstąpił jednak nigdy na samo jej dno. Uchroniła go od tego wiara. Wygrając romantyzmowi za „kult grobów” nietylko sam zaufał mesjanicznej wierze, lecz natchnienie jej podjął i poniósł dalej w mrok przyszłości. Ostatni z wielkich wieszczów zmartwychwstania w ciele, stał się pierwszym wieszczem zmartwychwstania w duchu.

Ze wszystkich sił wyniosłej, a namiętej swej duszy upragnioną moc, coby zdolna była przekuć słowo poezji i wizję obrazu w heroiczny czyn społeczny, zbierał Wyspiański zewsząd, skąd się dalo. Z materialistycznego pozytywizmu, z klasycznego witalizmu i chrześcijańskiego mistycyzmu. Nie wierzył, aby mu się powiodło niewolne pokolenie powstającej polskiej demokracji przekształcić w półbogów godnych wejść w czarowne światło niepodległości. O jej świt się nie lękał, bo wiedział że przyjdzie. Lękał się jednak i rozpaczal, bo wiedział i wiescił, że to antiheroiczne pokolenie, wkroczywszy w „czarowne światło”, spługaw je i uczyni na długo martwym. Czy od tego nie-szczęścia będzie jeszcze ratunek? Podwójną, pogańską-witalistyczną i chrześcijańskomistyczną wiarą Wyspiański wierzył i do wierzzenia podał odpowiedź twierdzącą. Wyzwolenie i zmartwychwstanie ostateczne, nietylko w państwowem ciele, lecz i w duchu społecznym nastąpi. Lecz nastąpi po najtragiczniejszych przejściach i wstrząsach, po zawaleniu się dawnego świata, po narodzinach nowej kultury oraz nowego typu człowieka.

Sztuka Matejki a zwłaszcza sztuka Wyspiańskiego powstała wprawdzie z buntu przeciwko przemocy materji, podobnie jak sztuka prerafaelitów oraz wielka dekadentka poezja zachodu, jednak ten polski bunt jest swoiście odrębny. Nie odrywa on sztuki od życia, by ją przed gwałtem materializacji ratować ucieczką w krainę baśni, lecz zmagal się z przemocą, usiłując ją powalić i pokonać. Ten impet bojowy wyrósł organicznie ze społecznych konieczności życia polskiego: z walki o niepodległość i o takie ukształtowanie ducha narodu, by niepodległość osiągnąć i zatrzymać był zdolny. Nie mógł tej zdolności zapewnić ani najszybciej artystyczny dekadentyzm ani psychologizm analityczny, ani naturalizm zoologiczny. Przemoc materji w Polsce była bardziej złożona, niż na zachodzie, płynęła bowiem zarówno z faktu niewoli, jak z ewolucji społeczno-demokratycznej, opóźnionej, lecz pokrewnej z zachodnią. Wobec nieuniknionego starcia tych dwojga przemocy, co więcej, wobec konieczności przeciwstawienia siły liczebnej potężniejszego życia — sile zewnętrznej gwałtu, konieczną się wydawała heroizacja polskiej demokracji. Ją to właśnie usiłowała osiągnąć popowstaniowa sztuka polska.

W odróżnieniu tedy od zachodu, gdzie sztuka już to poddała się przemocy materializmu, już wybiegła poza i ponad życie, sztuka polska główną swoją twórczą moc skierowała ku osiągnięciu syntezy ducha i materji, natchnionej wiary z realną energją życiową. U Wyspiańskiego dążenie to przybrało postać stopu trzech heroizmów rozmaitej natury i doskonałości, pochodnych od kultu materji, kultu życia i kultu ducha. Stop ten realizmu, klasycyzmu i romantyzmu, genjuszem twórcy wprowadzony na najwyższe szczyty artystyczne, wespół ze swą treścią

# O „TĘCZY” NORWIDA

Wiersz Norwida p. t. *Tęcza*, drukowany był po raz pierwszy w *Kłosach* (r. 1884, tom XXXIX, nr. 995 str. 51). Redakcja za- znacza, że rękopis utworu otrzymała od ge- neralowej Łucji z Giedroyciów Rautenstrauchowej, a o samym wierszu zamieszcza na- stępującą uwagę:

„Jak we wszystkim, co tylko wychodzi- lo spod pióra tego niepospolitego poety, tak też i tu, obok mglistości myśli, obok języka, często zanadto wymanierowanego i zawile- go, jest wiele, równie w formie, jak w treści, pozycji prawdziwej a wysoce oryginalnej. Z tego też względu nie wahamy się tej impro- wizacji umieścić w „Kłosach”, nie zrażając się trzecią jej strofą, za której zrozumienie możnaby, jak to mówią, dać konia z rze- dym”.

W dwa lata potem urywki z *Tęczy* zacy- tował w swym artykule o Norwidzie Ale- ksander Półkoźic (*Kłosy* 1886, tom XLIII, nr. 1115 — 1117). I on uskarżał się na trud- ności zrozumienia tego utworu, ale był pe- wien, że „popracowawszy myślą, jak ręką cepem”, można jednak myśl autora uchwy- cić, a za to „jakże łatwo dostrzec tu, jak i we wszystkich utworach Norwida, mnóstwo szczegółów prześlicznych, w antystycznym znaczeniu piękna”. Zacytowane przez Pół- koźica urywki przedrukował Mimiń w przy- pisach do pierwszego tomu *Pism Zebranych* Norwida (str. 731 — 734); o wydrukowaniu całości w r. 1884 w tych samych *Kłosach* nie wiedział. Odkrył *Tęczę* i przedrukował ją w *Tygodniku Ilustrowanym* dopiero dr. Stanisław Lam (w 1920 albo 1921 roku). Nie- stety, tekst przedrukowany przez dr. Lamę zawiera sporo omyłek, zniekształcających sens utworu. Za błędy takie często niepodob- na winić wydawcy; drukując w czasopiśmie, jesteśmy nieraz na łasce redakcyjnego korek- tora, i patrzymy z bezsilną złością na błędy druku, za które formalnie jesteśmy odpo- wiedzialni, aczkolwiek winowajcą jest zgoła ktoś inny. Przy dzisiejszej technice druku (linotyp li monotyp) taki wypadek zdarza się nietylko przy drukowaniu w czasopis- mach. Można zrobić kilka korekt, a wresz- cie okaże się, że cecetowi rozszarpał się jakiś wiersz przed samym drukiem i został złożo- ny na nowo z przeraźliwymi błędami. Ina- czej jednak przedstawia się kwestja odpowie- dzialności wydawcy za poprawność tekstu, jeżeli wydawca nie sięgnął przy przedruko- wywaniu do pierwodruku, czy wogóle do tekstu autentycznego, lecz zadowolił się ja- kimś nieobowiązującym przedrukiem bez sprawdzenia jego poprawności. Tak postąpił, niestety, wydawca ostatniego zbiorowego wydania *Dzieli Norwida*. Wydanie zbiorowe *Pism Norwida*, sporządzone ostatnio przez spółkę wydawniczą „Parnas Polski”, podaje tekst *Tęczy* według przedruku Lamy, a więc ze wszystkimi zniekształceniami sensu i języka, jakie tam się znajdują. Oto kilka przykładów. Odnazw w pierwszej strofie za- miast słowa „polskiej” czytamy: „polską” (w. 3-ci), co stwarza oczywisty nonsens. Po- cęta nie chce, żeby go pomówiono o profana- cję, a mianowicie, że on konchę perłową *polskiej mowy* zdrabnia na fraszki; nato- miast przy wersji „polską” wychodzi na to, że Norwid nie chce zdrabniać na fraszki ja- kiejs polskiej konchoy perłowej, co jest zu- pełną bzdurą. W tej samej strofie zamiast słowa „zrobić” czytamy „zrobić” (w. 7-my), co jest nowym nonsensem. Wychodzi na to bowiem, że poeta chce zdobić polską mowę upięciem pielgrzymiej tuniki. Dziwna byłaby to ozdoba. Podobnie w strofie ostatniej w wierszu piątym czytamy: „zanków dwóch szczyty” zamiast „zanków dwóch szczyty”, co jest jedynie konsekwentne wobec tego, że poeta mówi poprzednio w strofie prze- dostatniej o obydwu zankach, jako leżą- cych w całkowitej ruinie. Wyliczyłem tu najważniejsze omyłki w tekście, podanym przez wydanie „Parnasu Polskiego”; in- nych błędów, kających charakter języka poety, a częściowo i sens, możnaby się do- liczyć jeszcze dziesięciu. Wobec tego zdecy- dowałem się podać nareszcie czytelnikom po- prawny tekst *Tęczy*, jako utworu, który mi- mo zawikłań składniowych strofy trzeciej, należy chyba do najlepszych w poetyckiej spuściznie Norwida.

Konrad Górski

CYPRJAN  
NORWID

# T E C Z A

I.

Wstęp pierw uczynię, by mię lekkie słowo  
Nie pomówiło gdzie o profanację  
Mowy, że polskiej ja konchę perłową  
Zdrabniam na fraszki, na improwizacje,  
W kramarne cacka łamiąc ją i liche,  
Zamiast pielgrzymiej tuniki upięciem  
Zrobić i w ślady pójść za wieszczów księciem  
Majestatyczne, a nikłe i ciche.

Nie! Kochanowski Jan, co nam kołyskę  
Dawidowemi psalmy ośpiewywał,  
Adam, którego dni nam były bliskie,  
I Zygmunt, który mnie, jak wy widywał,  
Ni ty, Anhelli, sybirski poeta,  
Dziś w niewidzialnym sejmie wzięwszy krzesła,  
Swego mi tutaj nie rzucicie v e t o  
Za pieśń, że wyszła z ksiąg, z trumn się wyniesła,  
I bacząc mało, ile koturn splami,  
Weszła tu w żywych świat — że weszła drzwiami.

Owszem, t r a f nawet, kto inny nie bardzo.  
Ale pieśń może objąć skrzydłem krzywem,  
I jako rzeczą, którą słusnie wzgardzą  
Cisnąć o ziemię tym lwem uporczywym,  
Co jeśli będzie skłaniał się pomału,  
Stopy jej grzywą pocięra z kału.  
A cóż dopiero, gdy t r a f pieśń zaręcza  
Rymy gdy z myślą jednym zbrzmieją spadkiem  
I przedmiot ślepym nie padnie przypadkiem...  
Przedmiot ten na dziś — tu — jest słowo T e c z a.

II.

Gdziekolwiek ludy czoło podnosiły  
Ku firmamentu wklęsłościom ogromnym,  
Duch czuł, że wyżej głów szukano siły,  
W pierwoocknięciu już bywając skromnym,  
I choć zmysłami po niebiosach macał,  
Zgadywał prawdę, gdy w serce powracał.  
Chaldejski mędrzec, co gwiazd pyta nocą,  
Perski, Egipski i Grecy mistrzowie,  
I kmieć słowiański, gdy przelicza n o w i e,  
W niebo się zwykle odnaszają — po co?  
Po co najbystrzej szybują orłowie,  
Gwiazdy się w sztucznych teleskopach złocą,  
Planety po co błyszczą coraz nowe?  
Ha! człowiek skłania głowę, wznosząc głowę!

Lecz z wszechtradycji i wszechświadości,  
Jakie mistrzowie podają i prości,  
Mąż, co przez mamkę ssał egipskie mleko,  
A Izraelem był przez krew i Boga,  
Na trumny świata oparłszy się wieko,  
Mojżesz wysłyszał Pańską tajemnicę,  
I pióro Słowu zdawszy Przedwiecznemu,  
Potopów wielką opisał źródlicę  
Tak, że nikt po dziś ni wpięrw równy jemu.

Tam — ileż razy wśród żagli pękania,  
Albo na falach światowej zamieci,  
Szukałem kart tych i opowiadania,  
Skąd tęczy okrąg ponad arką świeci?  
A lza słoneczny promień mi w powiece  
Siedmiła barwą, i zdawało mi się  
Że w tęczę lecę...  
Takie bo prawo praw On na Irysie  
Zakreślił, który Miłość jest, że oto  
Nawet gniew Jego woła na człowieka:  
„Sieroto!”

Ojciec ojców ciebie czeka”.

III.

A ludzie... ludzi legenda jest inną.  
Tę w ziemi laurów, za Werony bramą  
Słyszałem — ówdzie stała się już gminą.  
Gdy indziej Szekspir swą rozniósł ją dramą,  
I każdy dzisiaj wie ze słów poety,  
Kto Montekowie są, kto Kapulety.  
Zanków dwóch grzy powylamywanych  
Po obu stronach sterczały przede mną,  
Jako jędz dwójga kły nieprzejednanych;  
W powietrzu ciężko było, w górze ciemno,  
Burzy, zdawało się, że spadnie nawał  
Kłąc pychę rodów i waśni domowe;  
A piorun, wyznam, że mi nie dostawał,  
I obracałem ku niebiosom głowę,  
Wietrząc siarczanych tchnień żółtawe światło,  
Co dwom ruinom tym służyło za tło.

Lecz w chwili właśnie, gdy już, już mniemałem,  
Że burza wielkim uderzy nawałem,  
Ze góry echa gromowe rozjęczą;  
Ironji jakaś siła niezgadniona  
Zanków dwóch szczyty uwieńczyła — T e c z a!  
A jam pomyślił: t u kłamie i ona!  
Czyż łatwiej, łatwiej, planetę zwaśnioną  
Zeswoić z Tęczą Twórcy rozjaśnioną,  
Lub upiąć w niebie gwiazdy nowej klamrą,  
Niż serca ludzi wpięrw, nim ludzie zamrą?!

1860. Hôtel Mayance, Rue St. Honoré.

## NOWY ETAP W STOSUNKACH KULTURALNYCH POLSKO - WŁOSKICH

Otwarcie Instytutu Kultury Włoskiej w Warszawie ma, wśród wielu innych wyda- rzeń w dziedzinie kulturalnej, znaczenie do- nosne. Jest to wielki krok naprzód w za- cieśnieniu się węzłów kulturalnych między Polską a Włochami, i dowodzi nietylko troski rządu Mussoliniego o kontakt między kulturą włoską i polską, ale także i faktu, że trady- cje historyczne nie skostniały i nie zamieni- ły się w legendę dawnych czasów, ale są podstawą dla rzeczy żywej i aktualnej: dla dzisiejszych stosunków, które rozwijają się, okazując wielką swoją żywotność. Należy podkreślić z radością, że stosunki polsko- włoskie mają w charakterze swoim jeden rys niezmiernie cenny: samorządność. Niema w nich propagandy, ani interesów politycznych. Wyrastają one bujnie same, z żywej gleby, którą stanowią pewien podkład uczuciowy. Od najdawniejszych czasów poeci polscy nazywali Włochy swoją drugą ojczyzną, a iluż Polaków dzisiejszych ma dla Włoch u- czucie zbliżone do patriotyzmu, a dla Wło- chów serdeczność jak dla rodaków. I naod- wrót, ilu Włochów czuje się w Polsce jak u siebie w domu, widząc w Polakach pokre- wienstwo duszy i charakteru. Ta łatwość po- rozumienia i zrozumienia się wzajemnego jest wielkim atutem w stosunkach między dwoma narodami.

Dlatego też Instytut Kultury Włoskiej ma wszelkie szanse, aby stać się nietylko siedzibą instytucji oficjalnej, odczytów i lekcji, ale zarazem miejscem, do którego radośnie będą garnąć się Polacy, pragnący poznać kulturę historycznej i dzisiejszej Italji, zarówno jak i Włosi, pragnący nawiązać bliższy kontakt z Polską i Polakami. Zdawał sobie z tego spra- wę ambasador Italji Giuseppe Bastianini, któ- ry z całą przenikliwością poznał gruntownie środowisko, i, przekonany o możliwościach pomyślnego rozwoju takiej instytucji, prze- prowadził utworzenie placówki Instytutu Kul- tury Włoskiej w Warszawie.

Otwierając Instytut Bastianini ujrzał dzieło swoje uwieczone powodzeniem i wy- raził nadzieję, że dusza polska i włoska spotkają się tu jak dwaj przyjaciele w gości- nym domu; że w Instytucie nietylko odżyją wspomnienia dawnych tradycji, ale zaplonie nowy płomień wspólnej kultury.

Cała inauguracja miała charakter nie- zmiernie uroczysty; świadczy to, że zarówno rząd włoski, jak i polski przywiązują do no- wo powstającego Instytutu szczególne zna- czenie. Z Rzymu przybył w imieniu rządu wiceminister Oświaty, prof. Arrigo Solmi, je- den z najwybitniejszych uczonych włoskich.

Ze strony polskiej otwarcie Instytutu u- świetlił swoją obecnością Premier Kozłow- ski, Minister Spraw Zagranicznych Beck i Minister W. R. i O. P. Jędrzejewicz, dając wyraz radości z jaką rząd polski przyjął tę nową placówkę, oraz zrozumienia jej wagi i użyteczności.

Po przemówieniu min. Jędrzejewicza, któ- ry podkreślił trwałość stosunków kultural- nych polsko-włoskich, prof. Solmi wygłosił odczyt inauguracyjny: „Il rinascimento italia- no e la Polonia” („Odrodzenie włoskie a Polska”). Arrigo Solmi, profesor uniwersyte- tu w Pawji, prawnik i historyk, współtwórca traktatu laterańskiego, znawca średniowie- cza i czasów najnowszych, opracował stosun- ki polsko-włoskie w czasach Odrodzenia, cha- rakteryzując w odczycie swoim okres roz- kwitu obu krajów i ich wzajemne oddziały- wanie.

Odczyt ten rozpoczyna szereg wykładów, jakie odbędą się w salach Instytutu. Przy- jaciele Włoch cieszą się, że będą mieli bez- pośrednie źródło wiadomości o Italji, i że bę- dą mogli nawiązać bliższy kontakt z nauką, kulturą i sztuką włoską, podobnie, jak Włosi znajdują wiadomości z Polski i o Polsce w Stacji Naukowej Polskiej Akademji Umiejęt- ności i w Stowarzyszeniu Kulturalnym Pol- sko-Włoskiem w Rzymie.

Instytut Kultury Włoskiej, na którego czele stanął prof. Italo Siciliano (wykłada- jący literaturę włoską na uniwersytecie war- szawskim), jest nowym twórczym etapem w ścisłej współpracy Włoch z Polską.

Registo de Andreis.

## Molière i muzyka

Muzyka posiada wiele wspólnego z dra- maturgią i poezją. Nie jest bynajmniej przy- padkiem, że najlepsi dramaturgowie kla- sycyści, jak Szekspir, Molière, Racine, Cor- neille byli także poetami. Na związek sztuki teatralnej z muzyką zwraca uwagę W. J. Turner („The New Statesman and Nation”, 14. X.), twierdząc, że wraz z postępami spe- cjalizacji poeci i muzycy opuścili scenę, ka- żdy poświęcając się pracy w swym zakresie. Kto wie, czy obecnie nie osiągniemy cie- kawych efektów przez zespolenie muzyki z dramatem i to w sensie operowym, lecz da- leko głębszym. Rzeczą najważniejszą jest to, ażeby na pierwszym planie znajdował się pomysł literacki, tekst, a dopiero potem, że- by przyłączył się czynnik muzyczny, wzmac- niając, łagodząc, bądź wreszcie podnosząc nastroj i wrażenie całości.

W. J. Turner jako przykład szczęśliwej współpracy poety z muzykiem przytacza współdziałanie Molière'a z Lully'm. Z.

FR. MACZYŃSKI

## WIKARÓWKA

Głośna tak dziś w całej Polsce, w istocie zaś swej czysto lokalna, sprawa przebudowy t. zw. „Wikarówki” nabrała znaczenia ogólniejszego, gdyż chodzi tu o Kraków i otoczenie kościoła Marjackiego.

Sprawa ta stała się rozgłośniejszą, niż na to zasługuje, bo przecież każdy nieuprzedzony przyzna, że mamy w Krakowie w zakresie estetyki szereg równoważnych a może i daleko donioślejszych i pilniejszych zagadnień; które winnyby skupić na sobie uwagę społeczeństwa, jak i sprawa Wawelu, restauracji jego wnętrza, odsłonięcie stoków od strony Wisły, lub przypadkiem otwarty widok na piękną fasadę gotycką kościoła Bożego Ciała przez wyburzenie dwóch domów z jednej ulicy na drugą. Są to problemy z punktu widzenia urbanistycznego ważne, o których jednak cicho w prasie.

Sprawa przebudowy istniejącego domu w otoczeniu prezbiterium kościoła była przedmiotem rozważań Komitetu parafjalnego, który w myśl ustawy domem tym zawiąduje. W r. 1927 rozpoczęto starania, by oplatany stan tego domu pod względem zdrowotnym i technicznym uporządkować przez przebudowę. Dom ten stanowi jedyną własność Komitetu i pozatem Komitet nie rozporządza żadnymi funduszami. Przeznaczenie tego domu od wieków było czysto użytkowe, jako dom mieszkalny księży i służby kościelnej.

W ciągu lat 7-miu rozważane były różne projekty; zarówno władze miasta, jak i konserwatorzy, czy artyści plastycy, sfery świeckie i kościelne wypowiadały niejednokrotnie swe zdanie, tak — iż projekt ostateczny, dziś się wykonujący, to emanacja i rezultat poważnego zastanowienia się tych odpowiedzialnych czynników.

Dyskusje i debaty dzisiejsze nic nowego do sprawy nie wnoszą, gdyż za wysokim eszalonowaniem nie dokonuje się absolutnie nic takiego, czegoby władze miasta lub konserwator nie akceptował.

Argumenty, uzasadniające budowę na dawnym miejscu, są równocześnie wyrazem stałego Komitetu parafjalnego, oraz Komitetu ogólnoobywatelskiego, który czasowo dla tej sprawy zawiązał się pod przewodnictwem p. Prezydenta Miasta Kaplickiego, oraz troskliwego opiekuna Marjackiej świątyni, a któregoż zasługi dla tego kościoła przyszoło należycie ocenić, ks. J. Kulnowskiego.

Sięgnijmy okiem w przeszłość:

Mały Rynek, który powstał w tymże samym roku lokacji m. Krakowa 1227, ma rozmiar 120 m. długości, a 40 m. szerokości, był zawsze przeznaczony na cele handlowe. Rynek ten był oddzielony zawsze od Rynku głównego szeregiem domów, oraz kościołem Marjackim, był w sobie zamknięty i stanowił architektoniczną całość, nierozdzielalną. Na planie miasta t. z. Kollatajowskim z r. 1785 jasno widoczne jest w środku zabudowanie Małego Rynku (zapewne straganami) oraz z boku widać 2 domy mieszkalne XX. Wikariuszów, oraz dotykający doń ówczesnym sposobem cmentarz grzebalny, który otoczony murem z bramkami sięga daleko w Rynek główny. Stan ten odpowiada charakterowi tej części miasta i niema powodu go zmieniać.

Inna rzecz z przebudową. Sam Komitet, nie posiadając innego realnego wyjścia, ograniczyć się musiał wyłącznie do przebudowy w dawnym miejscu, jednak ze swej własności odstępując na cele komunikacyjne, t. j.

jezdnię, około 1,50 m., zaś przez otworzenie 3,50 m. szerokiej arkady w części krótszej budynku stwarza wygodne kryte przejście dla pieszych, bo chroniące ich od wypadku na jezdnii.

Dom przebudowany ma odpowiadać też i celom gospodarczym, jako mieszkania XX. Wikariuszów, oraz licznej służby kościelnej, która bezpłatnie go używa, dalej pomieszczenie kancelarii parafjalnej, oraz salki na cenne archiwum kościelne lub muzeum dopełnić ma całość.

Pod względem urbanistycznym zatem budowa zamierzona zmienia swą formę (skra-



Stara, obecnie zburzona „Wikarówka”

ca się), lecz plan zasadniczo odpowiada jej dawnej konfiguracji w zupełności i utrzymanie go jest nakazem ważkim, gdyż pozostawienie tu pustego placu, stwarzając wyprawę, spowoduje w linii jednego z czterech boków powstanie luki i pustki, a to przez zabudowanie, przeciwnie do maszynowego domu OO. Jezuitów po stronie przeciwległej.

Plac więc zabudowany jest tu konieczny, a nie zgiełkliwa ulica, która niechybnie powstała. Przez niezabudowanie zginąłby sens przejścia pod arkadą obok św. Barbary. Część ta to jedyna własność, należąca do parafji kościoła św. Wojciecha. Przez niezabudowanie pozostaje plac, czy ulica i kościół staje na rozjeździe 2-ech ulic. Przez niezabudowanie utracilibyśmy sens budowy pierwotnej, gotyckiej, średniowiecznej, która budowała ciasno, ściśliwie, tworząc niepospolite kontrasty wzniosły. Przez niezabudowanie utracilibyśmy jedyny w mieście malowniczy kąt, jaki istnieje na placu Marjackim, który zrazu szeroki — od Rynku głównego zwęża się — a frontu św. Barbary spod wejścia bocznego kościoła daje nie spodziewane widoki na bok kościoła św. Barbary, z pięknym ażurem gotyckim i rzeźbą Chrystusa na górze Oliwnej, kaplicą zmarłych — arkadą przejściową, dalej w głębi „Wikarówką”. Przez niezabudowanie to wszystko ginie i dziś przez szalonowanie widać z Rynku głównego dalsze domy w ul. Mikołajskiej, jak w ulicy normalnej.

Czy widok z wylotu ul. Mikołajskiej na osamotniony kościół nie byłby przykry? Czyż wysokie gotyckie mury z czerwonej cegły nie stanowią całkiem odrębnego elementu technicznego, a kolorystycznie odbijając od tynkowanych kamienic m. Rynku — stanowiąc będą dyszharmoniję?

Ujemne przykłady odsłonięcia katedr gotyckich mamy w Paryżu, w Ulm, Kolonii, Wiedniu. Takim ujemnym przykładem jest zburzenie w r. 1820 Ratusza krakowskiego, a pozostawienie samej wieży. Stworzyło to tak wielką pustkę, iż zastanawiano się nad odbudową zpowrotem, dowodem czego są plany takiej odbudowy wykonane w tym samym roku burzenia przez I. Sierakowskiego, które w Biblij. Jagiellońskiej oglądać można. Refleksja jednak przyszła niestety — zapóźno.

Wreszcie raz wstąpiwszy na tę ryzykowną, niepotrzebną, szkodliwą drogę „odsłonięć”, pod kątem której tyle barbarzyństwa w Krakowie dokonano, należałoby rzecz tę prowadzić konsekwentnie, dalej odkrywać perspektywy na kościół św. Tomasza, burząc parę domów, od ulicy Florjańskiej, kościół św. Anny i t. d.

Zapytuję, czy potrzebne komu było burzenie bram i murów miasta — dokonane w r. 1820 pod hasłem wpuszczenia powietrza do miasta, wołano: „Kraków się dusi” i to było hasło ówczesnych burzymurków.

Wreszcie spojrzymy na plan Wilna: czy przychodzi komu do głowy burzyć ciekawe

ulice i zaułki, jak ul. Szeroką, Bernardyńską, Literacką lub Skopówkę nawet pod hasłem odsłonięcia kościoła św. Anny, Bernardynów, czy św. Michała?

Powracam do Krakowa, gdzie sprawy „odsłaniania” powtarza się w pewnym perijodycznym odstępie czasu. Sprawa zburzenia domów koło kościoła św. Idziego, znowu celem odsłonięcia widoku na Wawel i Kurzą Stopę, miała przebieg zupełnie podobny do obecnej. Obronił wtenczas sprawę przesądzoną energiczny protest prof. Sokołowskiego, protest Twa Miłośników Krakowa, Dr. Muczkowski, Twa Opieki nad Za-



Projekt nowej „Wikarówki”

bytami, prof. Mycielski, Twa Polskiej Sztuki Stosowanej, pp. Warchalowski i inni, a nadto ich protest w zupełności podpisał profesorowie Akademii Sztuki, jak: Wysocki, Axentowicz, Laszczka i inni.

Przypominam sprawę zburzenia starych i pięknych zabudowań poszpitalnych Duchaków koło kościoła św. Krzyża (gdzie dziś M. Teatr Słowackiego). Część najciekawszą, z pięknie sklepioną kaplicą ofiarował się Jan Matejko własnym kosztem odnowić. Rada Miejska nie uwzględniła tej ofiary i budynki zburzone. Matejko odesłał wszystkie odznaczenia, oraz dyplom obywatela honorowego miasta, i nigdy od tej chwili w Krakowie obrazów swych nie wystawiał; zastrzegł się, aby go na Skalce nie chowano. Tak też się stało.

Dalsze względy konserwatorskie, które przemawiają za zabudowaniem miejsca „Wikarówką” są ważne, ale mało doceniane, jest to ochrona prezbiterium kościoła zamkniętego bezpośrednio ołtarz Wita Stwosza, oraz 3 okna z witrażami średniowiecznymi od wstrząsów ulicy. Stwierdzono doświadczenia, iż nie jeden gwałtowny wstrząs bywa szkodliwy budowie, lecz te niewielkie a stale wstrząsy, nieliczne i nieubłagane od rana do późnej nocy się toczą. Od r. 1862 piszą o tym ruchu szkodliwym koło kościoła Marjackiego konserwatorzy, jak np. prof. Łepkowski w „Czasie” z ówczesnego roku.

Zresztą perspektywa na prezbiterium pozostaje nietylko gorsza, niż była dotychczas — lecz znacznie lepsza — a widok na prezbiterium spod nowej arkady będzie dla przechodniów należał do najwięcej malowniczych, podobnie, jak spod arkady św. Barbary jest przepiękny widok na wieżę i bok kościoła Marjackiego.

Architektura nowej budowy, jak wspomniałem, była rozważana przez odpowiednie władze miasta i konserwatorskie.

W r. 1930 Związek Plastyków uzyskał od p. Wojewody placet na rozpisanie konkursu na otoczenie kościoła Marjackiego. Konkurs ten, jako ideowy, bezpłatny, nie dał żadnego rezultatu.

Ostatnio, po otrzymaniu pozwolenia na budowę, Komitet parafjalny przeznaczył kwotę Zł. 500. na nagrody; konkurs na fasadę „Wikarówki” został w lipcu r. b. rozpisany, lecz nie jest do dziś rozstrzygnięty. Ostatecznie pokonano trudności, ustalono konieczność przebudowy.

Dom ma służyć zwykłym celom mieszkalnym, jak służył dotąd i pod tym względem nie się zmienia.

Mieszkania zamiast na północ otrzymają światło południowe.

Sklepowych wychodzących wokół wprost na kościół Marjacki jest dziś około 15-tu i to nikogo nie raża. Nikt z tego powodu szat nie rozdziera, a sklepy „Wikarówki” położone wyłącznie od strony m. Rynku, zatem zupełnie ze stroną prezbiterium nie mają żadnej łączności, lecz przeciwnie na dole

część ta stanowi pełny mur bez otworów. Wykonuje się je ze względów czysto oszczędnościowych, by Komitet nie potrzebował na utrzymanie i konserwację domu — na opłatę podatków, światła, ubezpieczenia od ognia i t. p., stale rok rocznie prosić parafjan o datki. Sądzę, że tak postępuje dobry gospodarz.

Demagogiczne wołanie I. K. C. o wypędzeniu z przedsiönka świątyni kupujących jest tu co najmniej nie stosowne. Podnoszę je, by dać miarę i oznaczyć rodzaj dyskusji, którą się prowadzi.

W dyskusji podnoszono też kilka pomysłów innego rozwiązania sprawy:

Nadbudować róg ulicy Szpitalnej, t. z. „Pralatówkę”, o 1 lub 2 piętra. Jest to dom z połowy XVII w. budowany przez znanego w historii budownictwa muratora Maksymiljana Zatorczyka. Stanowi on tak jednolitą architektoniczną całość, z koronującą attyką, iż nadbudowa jest niemożliwa, ponadto zaś den konserwator nie podpisałby podobnie barbarzyńskiego projektu.

Drugi pomysł to zakupienie domu obok „Pralatówki” położonego, t. z. dom Hippolitów. Stanowi on własność prywatną, którą najpierw należałoby wykupić, i nie wiem, kto by to miał zrobić. Dom ten zupełnie zniszczony wymaga przebudowy gruntownej tak, że suma kosztów wyniosłaby kwotę około 500.000 zł. Przebudowa zaś starej „Wikarówki” kosztowałaby ma 1/3 tej sumy.

Inny koncept, to głos Klubu samochodowego, który stanowczo pragnie tu mieć szeroką i otwartą drogę, i też według sił pragnie zmodernizować śródmieście. W dyskusji słyszy się propozycje obciążenia domu o 1 — 2 — 3 m. a nawet o 6 m. Cyfrę tę rzuca profesor historii sztuki — niczem jej nie motywując, niema ona ani z punktu widzenia estetycznego, ani konserwatorskiego żadnego uzasadnienia, w tej formie balamuci opinię dość już zdezorientowaną.

W zakończeniu uwag powyższych twierdzą:

Z chwilą, gdy uznajemy raz za konieczne zabudowanie częściowo zburzonego domu w tem samym miejscu — odsłanianie rusztowania zdawało się zbędne, bo i coż ono ma pokazać? To, co wiedzieliśmy wszyscy do dnia dzisiejszego. Widokowi prezbiterium kościoła nie grozi, przeciwnie będzie spod nowych arkad przepiękny.

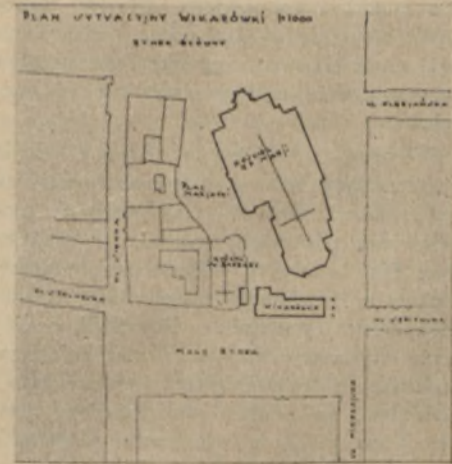
Uważam, że inne pomysły są to złudne eksperymenty, a tych bałbym się najwięcej w śródmieściu Krakowa, wszak to śródmieście, tak jak nam go wieki przekazały, pokazujemy obcym i ono ma swój własny styl i urok. Tego nie wolno zmieniać. Nowoczesny dom, projektowany nawet przez zdolnego architekta, w Rynku gł. wybudowano jako eksperyment i doświadczenie to zupełnie się nie udało — powinno być dostatecznie wymowne, by prób takiego modernizowania za wszelką cenę w śródmieściu, na przyszłość, nie robić. Okazuje się zatem, iż są dwa obozy wzajemnie się zwalczające. Koncepcja jednych żąda odsłonięcia prezbiterium kościoła Marjackiego i modernizowania śródmieścia, ale jak dalece? Boć konsekwentnie należałoby i kościół św. Barbary a i inne kościoły również podślaniać.

Drugi zaś pogląd na podstawie doświadczenia z „Fenixem” w Rynku głównym zwalcza fałszywy modernizm, a pragnie śródmieście, tę najciekawszą część Krakowa, utrzymać w swej pierwotnej, przepięknej formie.

Winą Komitetu jest chyba to, iż wybrał tę drugą koncepcję, a dodam otwarcie, iż źle nie zrobił!



Mały Rynek na planie Kollatajowskim w r. 1785



Mały Rynek według projektu architekta Fr. Maczyńskiego

JULJAN  
KRZYŻANOWSKI

# BERENTOWE OPOWIEŚCI

Mimo nastawienia naszych czasów tak radykalnie ahistorycznego, czy nawet antyhistorycznego, ciekawość literacka raz-po-raz sięga w przeszłość, raz-po-raz ponawiają się próby powieści historycznej. Na dowód wystarczy przytoczyć kilka nazwisk, jak Kosak-Szczuokiej, Wasylewskiego, Wołoszynowskiego, Iwaszkiewicza. Nie wdając się obecnie w analizę przyczyn i przebiegu tego gwałtownego zwrotu ku zdyskredytowanemu, zdaloby się, rodzajowi literackiemu, wystarczy ograniczyć się do stwierdzenia, że rodzaj ten żyje u nas wcale intensywnie i coraz to częściej daje krzepkie swej żywotności wody. Jednym z nich, i to jednym z najwybitniejszych, jest niezrównany „Nurt”, dwutomowy dotąd cykl opowieści Wacława Berenta<sup>1)</sup>.

W zamierzeniach autorskich ma być „Nurt” trylogią, obejmującą dzieje trzech różnych pokoleń na przelomie stuleci XVIII i XIX, a więc „ludzi starodawnych”, „pogrobowców” i wreszcie „odnowicieli”. Ludzie starodawni to osobistości czasów stanisławowskich, pogrobowcami są legioniści, skupieni wokół Dąbrowskiego w „ziemi włoskiej” i francuskiej, gdy odnowicielami będą wychowankowie legionów, pionierzy nowej kultury umysłowej w Polsce epoki Księstwa warszawskiego i przedlistopadowego Królestwa kongresowego.

Tak oto skomponowany tryptyk Berent określił mianem opowieści biograficznych, usiłując w przedmowie odgrodzić je zarówno od essay'u, a więc szkicu historycznego, jako też od romansu historycznego. Od pierwszego przeto różni się tym, że są opowieściami, że tedy nie ograniczają się jedynie do precyzyjnego zbadania faktu dziejowego i do jego naukowej interpretacji, od drugiego zaś tem, że autor, na wieży trzymając fantazję pisarską, daje rzecz „życia i prawdy bliższą”, bo pozbawioną zmyśleń powieściowych. Przykład, i to pierwszy z brzegu, lepiej to bodajże uaoacni, niż opis teoretyczny. Pijarzy warszawscy, pod wodzą ks. Onufrego Kopczyńskiego, przypuszczają bardzo osobliwy atak na główną kwaterę francuską w pałacu Potockich, by od Murata uzyskać zwolnienie od dokuczliwych rekwizycyj wojskowych. Atak udaje się w całej pełni, zaskoczony brawurą mnichów Murat kapituluje i wydaje rozkaz, by wojsko z budynków pijarskich wycofać. Rozkaz ten podchwytuje i rozgłasza krewki profesor zakonny, wołając przez okno ku ordynansom, by przedewszystkiem o zwolnieniu drukarni nie zapomnieli.

„A Murat bez przygany i bez naśmiechu nawet, przymrużnął tylko ku niemu: „Takiego-by na ikapelama bodaj, — że w decyzji prędki”. Zaczem przeniósł te oczu przymrużni i na samego ks. prowincjała, niezrażony całkiem osoby otyłością: ten raz dopiero ocenil — jego impet w działaniu”.

Historyk dąłby tutaj niewątpliwie abstrakcyjną analizę decyzji Murata, na dokumentach opartą naukową interpretację przedstawionego faktu historycznego. Berent natomiast daje obraz, kilku energicznymi pociągnięciami epickiego pędła plastycznie szkicując daną sytuację. A to samo dotyczy obrazów posiedzeń Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie ku czci Karpińskiego czy Kopczyńskiego, to samo wspomnianych scen przepawy Dąbrowskiego przez przełęczę Bernarda, czy przyjęcia generała w wojsnym od Prusaków Poznaniu, słowem jest to stała metoda autorska. I dzięki takiej to właśnie metodzie na kartach „Nurtu” zmarłych wstaje niezwykle barwna i plastyczna wizja smętnych czasów upadku Rzeczypospolitej i narodzin nowego życia na jej gruzach.

W wizji tej, w tryptyku części wstępnej, ukazującej ludzi starodawnych, przewijają się widma postaci, przytłoczonych nie szczęściem, zdezorientowanych, w najlepszym razie zdolnych jedynie podjąć mękę i śmierć za przegraną sprawę. Jest tu tedy zdziwaczalą „pustelnik” Karpiński, szczególnie wyrazisty w groteskowo-bolesnym spotkaniu z niewdzięcznym mecenasem, eks-królem, na zamku grodzieskim; jest stary Kopczyński, w odrodzeniu gramatyki

znajdujący gwarancje odrodzenia moralnego i politycznego narodu; jest wreszcie męczennik maciejowski, Kościuszko, ukazany przez autora, tego zakapturzonego poszukiwacza prawd religijnych, jako bolesne wcielenie mesjanicznych tęsknot i pragnień skazanego na zagładę pokolenia.

Centralną część tryptyku wypełnia jedynie i wyłącznie twórca legionów, Dąbrowski. „Zywoć Dąbrowskiego stanowi tu nóg przewodnią, i nie szczegółowy przebieg spraw dziejowych, sprowadzonych tu wszędzie do najniezbędniejszych uziwień”, wysuwa się na plan pierwszy w opowieści, ukazującej bohatera od chwili



Gen. H. Dąbrowski — Sztych Villerey'a ze zbiorów Biblioteki Rapperswilskiej.

gdy po rozgromie maciejowickim zaborcy usiłują dla siebie go pozyskać, aż po koniec jego kanjery wojskowej, po wypadki poraszynskie czy nawet bitwę nad Berezyną. Berent usiłuje ukazać zmagania wewnętrzne, przez które Dąbrowski przechodzi zwycięsko, by od zmurszałej i rozdartej Rzeczypospolitej, poprzez trud „doli żołnierskiej”, którą tak fascynująco maskicował niegdys Zeromski, — doprowadzić do odrodzenia, stworzyć, z odwiecznego podglebia duszy polskiej wyrwać ten nurt głęboki woli życia na poziomie wolnego Polaka, nurt, który — dodajmy od siebie — mimo zasypywania go przez żwir i piach codzienności politycznej wieku XIX, miał przetrwać nienaruszony, by znaleźć sobie ostateczne ujście po latach w czynie organizacyjnym nowego Wodza Legionów. Powstanie owego nurtu odwarza Berent, idąc za nadgryzionym przez myśli biblioteki petersburskiej pamiętnikiem Dąbrowskiego, konfrontując go z rezultatami badań historycznych i legendą, przywiązaną do „ikon narodowej”, przedstawiającej urodzivego ulana w czapie na bakier i z nieśmiertelnymi baczkami, a ukazującej w księdzu Józefie najwyższe wcielenie ducha narodowego przed stu laty.

Wbrew tej legendzie Berent rewindykuje czyn Dąbrowskiego, wygrzebuje go z ciepłowie, starannie, umięjętnie, spod zwału plotek, zawiści i fałszów, spod zapomnienia i obojętności wreszcie, które przytłoczyły pamięć o wodzu legii włoskich. Pod piórem znakomitego prozaika dźwiga się duża, ciężka, niezgrabna, niedopięta postać generała, zanurzonego w troskach codziennych o buty i mundury dla swych bohaterkich obdartusów, otoczonego gromem ludzi najrozmaitszego formatu i kalibru, od entuzjastycznych wielbicieli-pomocników, jak Tremo i Chamand, aż po wszelkiego rodzaju szubrawców, jak ów „szlachetny król lotrów”, szpieg, szuler, rabuś i zawiadłaka Chadzkiewicz, lub duchem wschodniej abnegacji cuchnący jakobiński wrogowie Dąbrowskiego, w przyszłości nieraz wierni słudzy carskiej policji. Wśród owych trosk codziennych, wśród wysługiwanie się obcym, wśród ciągłych zawodów, ów niezgrabny wódz, niezwykły w swoich posunięciach strategicznych, niezrównany partyzant i organizator, posiada oś, co wysuwa go na czoło całego pokolenia, posiada on pełne poczucie swej roli dziejowej, odwagę wzięcia za nią odpowiedzialności, umiejętność systematycznego realizowania jej na przekór coraz to rosnącemu oporowi ze strony otoczenia. „Pod sztandarami Dąbrowskiego dojrzał istotnie duch nowego pokolenia”, on stworzył tych, którzy wśród gruzów Rzymu

„tu właśnie poczuli się po raz pierwszy na siłach, by wziąć ma barki swe dziejowe brzemie — odnowy ducha polskiego”, w jego legionach skupiły się kadry „młodzieży najzdolniejszej w tem pokoleniu, a dzięki Dąbrowskiemu ockniętej światłem Rzymu i Paryża” i wskutek tego zdolnej rozniecić „pogaszoną przez zaborców pochodnię Oświecenia”.

Takie ujęcie psychiki Dąbrowskiego i jego znaczenia w dziejach kultury polskiej nie jest oczywiście absolutną nowością. Wbrew temu, co Berent mówi o „złeczkawaniu Dąbrowskiego przez powieściopisarzy, snujących wątki legendy legionowej, wskazać można na Zeromskiego i rozdziały „Popiołów” o Dąbrowskim i Sulkowskim, jak też plastycznie ukazujące źródła berentowskiego „nurtu” właśnie! Z tem wszystkim jednak zarówno Zeromski, jak Berentowi bodajże jeszcze bliższa M. Zabojecka, w swej przepięknej a tak grubożonnie zapomnianej „Powieści o duszy polskiej”, obciążeni są balastem, od którego autor „Nurtu” jest wolny. Cięży na nich mianowicie jaskrawa antynomia dziejów legionowych, oscylujących między dwu biegunami, bezgraniczną nędzą „żołnierza tulacza” a

królewską wielkością jego niezłomnego ducha. Od swoistego patosu legendy, łączącej Saragossę i Somosierrę, wyzwolić się nie potrafią, spojrzeń bowiem na te sprawy ze stanowiska wolnej duszy polskiej jest dla nich jedynie pragnieniem, a w najlepszym razie postulatem. Berent natomiast, pisarz wolnej Polski, może pozwolić sobie na pominięcie czy przynajmniej odsunięcie wgląd obrazu owej aureoli bohaterstwo-męczeńskiej, którą legenda nagrodziła legionistów włoskich czy hiszpańskich, lozysko nurtu może ukazać nie tylko w kolumnie lanc ułańskich, lecz jeszcze wydatniej w świadectwach zawartych w pozobłych tomach roczników Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, sławiących za służbę Dąbrowskiego nie tylko na polu czynu wojskowego, lecz również pracy kulturalno-naukowej.

I nie bodajże różnicy tej nie uwypukla tak jasno, jak okoliczność, że „Popioły” rodziły się ze studjów archiwalnych w Rapperswilu, wygnającej oazie nauki polskiej, przechowującej ocalone od zagłady dokumenty historyczne, zebrane na obczyźnie, gdy „Nurt”, rewindykujący świadomości polskiej wielkość Dąbrowskiego, powstał ze studjów nad dokumentami, które dzięki rewindykacji kulturalnego mienia polskiego powróciły do wolnej Polski.

## SAMORODNY TEATR W SZKOLE

Zasłużony Instytut Teatrów Ludowych wydał w końcu ubiegłego roku książkę Zdzisława Kwiecińskiego, która ze względu na poruszone zagadnienie, sumiennosc naukową autora oraz walory konstrukcyjne pracy wymaga szerszego omówienia. Z Kwieciński jest jednym z niewielu ludzi u nas, którzy poważnie zajęli się sprawą Samorodnego Teatru w Szkole i instynktem dramatycznym u dzieci. Pierwsza to polska książka poświęcona temu ważnemu zagadnieniu, które niestety u nas znajduje się w powijakach. Właściwą ojczyznę Samorodnego Teatru jest Rosja Sowiecka, (Samodzielny teatr); teatr ten traktowany jako doniosły czynnik wychowawczy w kształceniu młodych obywateli Z. S. S. R. cieszy się szczególną opieką państwa i posiada bogatą już dzisiaj literaturę. Nietylko jednak Rosja ale i Niemcy, Anglja i Ameryka zaszczepiają poważnie w tej dziedzinie pracować. My dotąd szliśmy drobnymi kroczkami na końcu i dopiero poważnym krokiem naprzód staje się książka p. Kwiecińskiego, który zadał sobie trud opracowania syntezy tego zjawiska i metody pracy. Dla podkreślenia doniosłości znaczenia Teatru Samorodnego niech posłuży zdanie wyjęte z tej książki.

„Chodzi o to, aby wychowywać jednostki twórcze, a mimo to umiejące współpracować z innymi jednostkami nie tylko twórczymi ale i naśladowczymi”.

Zdecydowanie i słusznie przeciwstawia się autor urządzaniu przedstawień dziecięcych na wzór „teatru tradycyjnego” t. j. teatru dla dorosłych; tam bowiem gotowy utwór sceniczny, napisany przez zawodowego literata i daleko idąca ingerencja nauczyciela-reżysera spychają dziecko, ze szkoda dla jego indywidualności, do roli papugi recytującej mechanicznie narzucone i w większości wypadków obce mu role.

Pierwszy rozdział omawianej pracy dotyczy instynktu dramatycznego u dzieci. Na podstawie bogatej literatury, jak również własnej obserwacji oraz wniosków, wysnutych z ankiet, dowodzi autor, że już od drugiego roku życia rozwija się u dziecka ów instynkt dramatyczny, przejawiający się w tem, że dziecko posiada ogromną zdolność wczuwania się i odgrywania pewnych postaci. Raz dziecko np. „udaje” konduktora tramwajowego, innym razem zsofera czy maszynistę itp. Ten instynkt „aktorski” jest powszechną formą wyżywiania się dziecka, a umiejętnie kierowany jest doniosłym czynnikiem kształceniowym i wywiera dodatni wpływ na jego psychikę. Na owej zdolności dziecka polega cała koncepcja teatru samorodnego. Dzieci same układają fabułę sztuki, jej akcję, dzielą widowisko na akty.

<sup>\*)</sup> Zdzisław Kwieciński: Samorodny Teatr w Szkole. Rzecz o Instynkcie Dramatycznym u Dzieci i Młodzieży. Instytut Teatrów Ludowych, Warszawa.

rozdzielają role, robią dekoracje. Niczego nie uczą się napamięć, wszystko improwizowane i szczerze. Widowisko powstaje kolektywnie, cała klasa bierze udział, każde dziecko coś dorzuca do akcji względnie proponuje poprawki, niema tu nawet podziału na widza i aktora.

Przy tego rodzaju widowisku a raczej przygotowaniach do widowiska (bo to jest według autora rzeczą najważniejszą) dziecko obejmuje całość opracowanej sztuki a nie tylko, jak to się dzieje w teatrze tradycyjnym, wykuty na pamięć wycinek rzeczywistości scenicznej. Udział nauczyciela redukuje się do utrzymywania porządku i karności pracy oraz polega na umięjętnym wskazywaniu dzieciom błędów kompozycyjnych, często robią to one same — powstaje więc samorodna krytyka. Tym sposobem dzieci uczą się szeregować i ujmować w pewną konstrukcyjną całość artystyczną odzwierciedlając rzeczywistość a nauczyciel ma możność lepszego poznania indywidualności swych wychowanków. Następny rozdział daje zwięzły przegląd dorobku w tej dziedzinie Rosji (działalność Proletkuilu, teatru „junych zritelej”), Niemiec (Bund Entschiedener Schulreformen oraz działacze Gerst, Brües, Ostrowski i inni), Anglii i Ameryki. Rozdział III-ci p. n. „Eksperymenty własne” przynosi bardzo ciekawe i cenne doświadczenia autora, przeprowadzone u nas w kilku szkołach. Odsłaniają one metodę jego pracy i jej dodatnie wyniki. W dalszych rozdziałach zajmuje się autor zagadnieniem widowni i Teatrem Samorodnym jako metodą profilaktyki i terapii w lecznictwie psychiatrycznym, korzystając z doświadczeń Dr. Giżyckiego w szpitalu Jana Bożego w Warszawie.

Te doświadczenia dają pracy Z. Kwiecińskiego rzetelną podstawę, tłumacząc i umacniając założenia i wywody. To też praca ta staje się cieszmy żywym, wycinkiem życia, nie w niej niema z atmosfery książkowego elaboratu, mimo, że autor opiera swe badania na poważnej i obszernej literaturze zagranicznej. Książka bardzo ciekawa.

Tadeusz Makarewicz

## Odpowiedzi Redakcji

P. X. Z. Dąbrowa Górnicza. Adres p. Kiedrzyńskiego: Warszawa, ul. 6 Sierpnia nr. 8. Żądane informacje i daty może Pan znaleźć w „Obrazie współczesnej literatury polskiej” K. Czachowskiego.

P. G. Warszawa. Adres p. Jankowskiego: Warszawa, ul. Polna 32. Posiada także telefon.

P. N. G. Warszawa. Niewłaściwa forma sprostowania, nadesłanego nam przez Panią, uniemożliwia nam jego opublikowanie.

<sup>1)</sup> Nurt, Opowieści Biograficzne, I — II, Warszawa, Gebethner i Wolff.

# Białe zęby: Odol-pasta do zębów

## KŁAMLIWA ENUNCJACJA NA SCENACH STOLICY

Enuncjacją taką jest reportaż pana Uniłowskiego w Nr. 46 „Wiadomości Literackich” p. t. „Dzień rekruta”, zamieszczony w dniu Święta Niepodległości.

Panie Uniłowski, i ja byłem w wojsku, i ja byłem rekrutem, byłem w garnizonie, którego nazwa dziś jest dobrze znana — w Berezie Kartuskiej. Nie napróżno umieszczono tam obóz izolacyjny (byłem w tych samych koszarach i za temi samemi drutami), nie napróżno tam stał, za carskich czasów, karny bataljon rosyjski; ciężko tam było i gorzej napewno, niż to pan przeżywał. A jednak stwierdzam, że sfalszowany jest u pana obraz życia wojskowego, jego początków i trudów.

Myśmy wiedzieli dlaczego służymy, myśmy widzieli sens w drill'u koszarowym, bo wiedzieliśmy poco służymy. Dla nas wojsko nie było tylko szykaną i niewygodą, znuczeniem i stekiem głupich czynności — dla nas wojsko było również służbą.

Byli między nami inteligenci, pewnie gorsi pisarze niż pan, ale napewno nie gorsi intelektualści, i widzieliśmy dysproporcje między naszymi upodobaniami, a życiem żołnierskim; my jednak widzieliśmy nietylko jego zewnętrzną formę, ale również i treść. Powtarzam jeszcze raz: wiedzieliśmy dlaczego jesteśmy w wojsku. W pańskim artykule pęta się gdzieś między wierszami pojęcie ojczyzny i obowiązku, ale jest ono tak nikłe, że nie potrafi zrównoważyć bólu i gorczy, jaką pan odczuwa spowodu zbyt wczesnego wstania lub niedokładnie umytych zębów. Otóż to. Nam te pojęcia wystarczyły w zupełności, ażeby ciężką służbę znieść nie jako dopust Boży, z którego należy się wyrwać pod jakimkolwiek pozorem, ale jako szkołę, w której rezygnujemy z naszej indywidualności na rzecz społecznego obowiązku obrony całości.

To jest rzecz zasadnicza.

A teraz dalej. Pan Uniłowski nietylko przedstawia swoje cierpienia w wojsku, które jak widzimy (z jego artykułu) płyną z poczucia bezsensowności jego tkwienia w nim, z pustki ideowej, z braku jakiegokolwiek łączności między pojęciem „ojczyzna” a nim, ale ponadto fałszuje ten obraz, wyolbrzymia głupstwa, wykoszlawia rzeczywistość; słowem każe nam patrzeć na wojsko przez krzywe zwierciadło. Robi to bardzo prosto i łatwo. Napisać reportaż literacki na jakiś temat, to nie to samo, co napisać przebieg reakcji chemicznej, — nie obowiązuje tu ścisłość, z niczego nie trzeba się wyliszać, można stwarzać dowolne sytuacje i malować je tak, jak chęć czy nastroj podszepnie. Fantazja i żylka literacka jest tu jedyną rzeczywistością, a prawda obiektywna tylko pobudką, tylko luźną tkaniną, na której maluje się wzorzyste kwiatki swojego talentu. Pan Uniłowski może przecież na podstawie swoich przeżyć wojskowych, napisać powieść o swej służbie wojskowej z sobą, jako głównym bohaterem.

A przecież wszyscy wiemy, że prawdziwe przeżycia, w stosunku do tego co powstanie z talentu pisarskiego, będą podobne jak pięść do nosa. Pan Uniłowski korzysta z tej dowolności, zreszcie buduje sceny, gromadzi fakty, ożywia postaci, słowem tworzy film ciekawy i groźny. W przeciągu kilku minut staje się świętym męczennikiem. Nie może się na czas ubrać, nie może umyć zębów (biedactwo, proszek do zębów nosi w ręku, pewnie w wojsku nie wolno inaczej), widzi rzygającego kapitana, który tęskni do huku i wojny, czyścić ma koniom zady, kał pralowi buty, wachmistrzowi podwórze. Na szczęście nie zdążył już szczerką do zębów zamieść stajni. Lekarz, major, balwan, jako lekarstwo przepisuje tydzień czyszczenia ustępów, sanitariusz — kreatura. Nawet piec wojskowy jest narzędziem potęgującym grozę: przypala plecy szeregowcom.

Oto tak wygląda kilkadziesiąt minut z życia rekruta, a właściwie tak je przedstawia pan Uniłowski.

Zobaczymy dalej na czym polega fałszowanie obrazu. Autor przedstawia siebie jako „ofermę” i wyszydza oburzenie kaprali i ogniomistrzów, ich litościwe spojrzenia. Nie wiem o co tu chodzi, bo ja sam przecież z politowaniem patrzyłem na niedorzeczność zachowywania się bohatera artykułu i nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, czytając jego niemrawą uwagę, że już bateria gdzieś odjechała a on tu jeszcze zębów nie umył. Rzeczywiście, może tak bateria oczekiwała, a może nawet cały pułk, aż on skończy toaletę.

W wojsku traktuje się ofermę tak, jak grafomana w literaturze. Czemu się pan dziwi?

Reasumując to wszystko, widzimy, że trzy momenty łożyły się na fikcyjność reportażu: dowolność sytuacji, niedorzeczność założenia („oferma”) i jednostronność (zewnątrzną) opisu.

Nie mam tu zamiaru wygłaszać apologii wojska (to jest zupełnie inna sprawa), ale uważam za oburzające i co ważniejsze, za niebezpieczne — budzenie odrazy do wojska. I dlatego właśnie piszę. Zaden człowiek normalny nie uważa wojska za ideal, za wykwit życia społecznego, ale każdy rozsądny i uczciwy w stosunku do swego narodu i państwa, uważa je za konieczność w tych warunkach cywilizacyjnych i politycznych, w których żyjemy. Wojsko jest wszędzie, nawet w Z. S. R. R., który jest tak miłym i czystem gościem na łamach „Wiadomości Literackich”; nie czytałem tam jednak paszkwilów na sowiecką armję. Dam im więc okazję do rozdzierania szat nad biednym, uciemiężonym przez armję sowiecką człowiekiem.

W czasie wrześniowej wizyty floty sowieckiej, uciekł z pancernika „Marat” marynarz Woronkow. Snać zbyt ciężki był dla niego regimie sowiecki, wołał pozostać w Polsce. Kolegium wojenne Sądu Najwyższego w Moskwie wydało 4-go b. m. na niego zaoczny wyrok śmierci. Na podstawie art. art. 319 i 320 kodeksu karnego oraz dekretu z dn. 8 czerwca b. r. uznany został za zdradę ojczyzny, skazany na śmierć. Aresztowano jego rodzinę i wszystkich krewnych, skonfiskowano mu majątek. Wyrok ten drukowała prasa sowiecka 5-go listopada. Tak socjalistyczna ojczyzna traktuje swoich obywateli, którym służba wojskowa nie smakuje. Ale o tem „Wiadomości Literackie” nie napiszą, nie skorzystają z tej okazji, aby dać wyraz swojemu humanitaryzmowi, nie użalą się nad dołą człowieka którego pożera „hydra państwowości”. Wolą pisać o polskim wojsku, siać w Polsce defetyzm. Nie chodzi im o samo zagadnienie, nie o ideę państwowości, ale o zdobycie sensacji, poczytności. To się będzie podobać, to takie modne, bezpieczne (u nas takich groźnych dekretów jak w Z. S. R. R. niema).

Tak więc podaniem sfalszowanego obrazu życia wojskowego chce się je ośmieszyć i uczynić żeń zmorem bez sensu, mielącą ludzi w swych mackach. Sieje się świadomie defetyzm, odrazę do wojska. Podkreślam: do wojska polskiego. To mnie oburzyło i zmusiło do napisania co o tem myślę. Jeszcze pozostała jedna sprawa, uboczna, — obskurne słownictwo, którego używa z upodobaniem p. Uniłowski. Ale to kwestja gustu literackiego, który na szczęście nie wszyscy znoszą bez odrazy.

T. Unkiewicz.

### „INFORMACJA PRASOWA POLSKA”

jedynie od lat 15-tu w Polsce biuro kontroli prasowej, widzi w prasie, czyta i wycina z niej wszystko, co interesuje jej abonentów.

Adres biura „Informacji Prasowej Polskiej”, Warszawa, Bracka 5, w lokalu Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich (tel. 941.53).

Teatr Nowy: „Igraszki muzyczne”. Sztuka w 3 aktach, 5 odsłonach Ronald Mackenzie'go, przekład Florjana Sobieniowskiego, reżyserja Leona Schillera.

Zmiana dystansu, spowodowana przeniesieniem tej angielskiej sztuki do teatru polskiego — nie wyszła jej na dobre. Cała uwaga krytyki skupiła się na fackie roztajemniczenia, zdjęcia romantycznego uroku, rozbicia egzotykcności. To, co dla oka Anglików — mówiono — jest egzotyczne, owa dzika, naftonośna kraina podkarpaska, oprzędzona sinością oddalenia, jak dla nas pejzaż Baku lub tło „Nafty” Sinclair'a, to w Polsce jest bliskie, znane, familjarne. Wskazywano na złudzenie optyczne, na mistyfikację tkwiącą w każdym egzotyzmie. Chciano nawet widzieć, i to już jest symptom swoistego przeczulenia — pamflet na Polskę.

Oczywiście przy takim nastawieniu umknęła uwadze cała istotna zawartość sztuki — jej walor micomal dokumentarny, walor „spowiedzi dziecięcia wieku”. Przeoczono też jej odrębność strukturalną. W jednym i drugim mimowolnie pomogła zmiana oryginalnego tytułu: „Musical chairs” na „Igraszki muzyczne”. Pitojew wystawiając sztukę Mackenzie'go w paryskim teatrze „Vieux Colombier”, przełożył ten tytuł na: „Polka des chaises”, nie zważał się dla jego objaśnienia i stworzenia odpowiedniej sugestji wprowadzić na początku krótkiego filmu rysunkowego. „Przy akompanjamentie muzyki przedstawiał on schematycznie grę towarzyską uprzykrzoną i u nas pod imieniem „gry w komórkę do wynajęcia”.

Jeśli się przełamię przypadkowe i czyście zewnętrzne sugestje, rzecz Mackenzie'go przedstawia się jako — dramat klimatu psychicznego. Muzyka ukazuje się nie jako dowolna „igraszka”, przyprawa i koronkowa ozdóbka, ale jako czynnik konstruktywny utworu. Spróbujmy to zobaczyć.

Joe Schindler, syn przedsiębiorcy naftowego, Niemca z urodzenia, Anglika z świeżej i formalnej narodowości, jest ofiarą wojny. Z wojny wyniósł nietylko przestrzelone płuca, zszarpane nerwy, ale utracił w niej raz na zawsze punkt równowagi życiowej. Ten punkt wymknął mu się spod nóg w piekielnym niebie, rozdarciem strzałami, zasnutem osłoną dymową. Wymknął się mimo, że Joe zdołał utrzymać równowagę kierowanego samolotu. Bomba, którą celnie utrafił miasteczko, może dom, może — któż wie? — serce swojej niemieckiej narzeczonej, ugodziła w niego, w sam ośrodek życia, w najczulszy, w najtajniejszy rdzeń vitalny. Jest w nim teraz dezorganizacja duszy i ciała, jakby dyskoordynacja ruchów, nieustanna, paląca rozterka, paraliż woli, miotanie się między zgrozą i cynizmem, między rozpaczą i kpina, między krzyżącym głodem, — a niemocą, niezdolnością życia. To jest aura, jaką wytwarza wokół siebie klimat, w którym żyje. André Salmon (niezależnie od Mackenzie'go) określał go, jako „climat de l'inquiétude universelle”. Niedawno Arland osądził surowo jego refleksy w literaturze, upatrując w nim „le nouveau mal du siècle”.

Właśnie tu, w tem zagłębiu, w tem zero-wisku conquistadorów naftowych, w rodzinie izolowanej wśród obcego świata, jeszcze jawniej, oczywiście występuje rozlamująca, rozprzęgająca, roznosząca na nice rozterka. Bez wątpliwości przesadnie zbarbaryzowana egzotyka polskiego Podkarpacia jest raczej pretekstem artystycznym, świadomym odpowiednikiem burzliwego pejzażu duchowego i jakby symbolicznym izolatorjum. Tu, w zestawieniu z synem maochy Geofrey'em Preston, autentycznym Anglikiem i autentycznym traperem, urodzonym naftowcem występuje całkowita nieudolność życia Joe'go. Tu na tle jurnych zalecanek fantazjującego ojcażka do dziewczyny wiejskiej ujawnia się jego niezdolność do miłości, jego okrucieństwo wobec kobiety — siostry przyrodniej — którą go kocha i

wobec drugiej — narzeczonej przyrodniego brata — którą on kocha. Jest w nim jakaś niemożliwość jednoznaczności, jakaś straszliwa deziluzja, niepodobiestwo zaufania czemukolwiek, przeciwstawienie się czemukolwiek, akonstruktywność, przełamanie kręgosłupa.

W tem wszystkim Joe zdaje się być dla Mackenzie'go przedstawicielem pokolenia, na które zbrakło miejsca. Bo i historia bawi się też w „musical chairs”, zna też generacje niepotrzebnych, generacje bezdziejowe. Joe powinien być, jak żywa żagiew, runąć na płonących skrzydłach samolotu w samo serce popłochu, w samo serce pożaru, w którym zginęła jego narzeczone. Teraz życie jeszcze raz jawnie pokazuje, że w jego makabrycznej zabawie niema dla Joe'go krzesła, niema „komórki do wynajęcia”. Ratując zakochaną w nim, zrozpaczoną Marję, Joe tonie — nikt nie wie: dobrowolnie czy przypadkiem? — w falach wzbieranej ulewnej rzeki.

Ten dramat pokolenia powojennego Mackenzie zawarł w dość osobliwej i własnej formie. Muzyka, która towarzyszy zwyczaj owej grze w komórkę stała się zasadniczym elementem konstrukcyjnym utworu. Urosła do roli artystycznego wykładnika jego atmosfery, jest transpozycją, projekcją zakazającego wszystko, dezorganizującego, rozkładającego niepokoju.

Nie ulega też wątpliwości, że w „Igraszkach” znaczą się trochę nieorganicznie wpływy obce (rosyjskie, wskazane przez Sobieniowskiego; zapożyczenia z rekwizytorni symbolizmu nastrojowego), że jest w nich i pewna rozwlekłość i pewna naiwność. Mackenzie czuje się (jakby zabardzo Joe Schindlerem — dzieli z nim rysy straconości i przedwczesności śmierci — mówiąc za bohatera zbyt wiele, zbyt szczerze, trochę bezkrytycznie mówi o sobie. Ale i tu nie wszystko mu można przypisać. Na podstawie samego osłuchania z tekstem francuskim mam podejrzenie, że tłumacz Sobieniowski w tej nerwowej tkance słów znowu niejedno pogrubiał i niejedno przebarwił.

Schiller, reżyser fenomenalnie umuzykalniony, oczywiście i wyjątkowo dysponowany do przygotowania tej sztuki, zdaje się uległ pokusie zbyt ostrego, jaskrawego akcentowania efektów. Niekonieczne chyba było kierować reżyserją ku tak zdecydowanemu realizmowi. Raczej ścisząc tonację zewnętrznych zdarzeń, słów nawet, należało dążyć do wydobywania wewnętrznej melodii nastrojowej, muzyki ukrytej poza słowami i poza zdarzeniami. Niezależnie od sforsowania realizmowego, reżyserja Schillera nosiła znamiona roboty wysokiego gatunku.

Rolę Joe'go kreował Damięcki. Choć w tej roli były jeszcze skojarzenia, jakby już mimowolnie, automatyczne poszlignięcia w tonację Raskolnikowa, ten zdolny, coraz bardziej rozszerzający swoją skalę, pogłębiający się aktor potrafił stworzyć przekonawającą sugestję duchowego zdemolowania, poza momentami zawinionemi przez tekst przekonywał widza dla swojej zawilej postawy wewnętrznej. Bezspornie sporną kwestją jest rola Ireny odtworzona przez Kuncewiczównę. Ta artystka zbyt skomplikowana, zbyt finezyjna dla roli, która wymaga jakiegoś prymitywnego, elementarnego, specyficznie jankesowskiego cynizmu. Doskonałą parę małżeńską Schindlerów stworzyli Marja Dulęba i Stanisławski: jej dostojna, sztywna, zabójczo nudna matronowość szła o lepsze z jego podtatusiałą, spóźnioną lekkomyślnością. Usprawiedliwiająco ponętna i szczwana była Anna Balcerkiewiczówna. Fabisiak był cały bardzo w kratę, jak przystało na amerykańskiego naftowca. Rodzeństwo Preston (Grabowska i Pichelski) poprawnie dopełniali zespołu.

Dekorację oszczędną, celową, wyraziście zaprojektował Stan. Cegielski.

Tymon Terlecki.

URBANISTYKA PROF. TOŁWIŃSKIEGO

Nowoczesna urbanistyka, nauka budowy miast, jest rezultatem badań całego szeregu uczonych w ostatnim piętnastoletciu, i dopiero niedawno uzyskała sobie pełne prawo obywatelstwa. Dziś już jest nie do pomyślenia architekt bez znajomości urbanistyki, jakkolwiek doniedawna sprawa ta należała wyłącznie do geometrów i inżynierów lądowych.

Oplakane skutki tego stanu rzeczy podziwiamy we wszystkich polskich miastach, nawet w tych, które zostały zbudowane na zdrowych założeniach średniowiecza w okresie największego rozkwitu podświadomej urbanistyki, wypływającej z konieczności życiowych. Warunki gospodarcze, prawne, komunikacyjne, obronne narzucały w danych okolicznościach automatycznie pewne rozwiązania, których nikt nie analizował. W okresie świadomej, przemyślanej twórczości, opartej niemal na matematyce, analiza formy minionej staje się doskonałym sprawdaniem, w jaki sposób życie wiąże piękno z logiką. Z tego punktu widzenia książka profesora Tołwińskiego \*) jest pracą doskonałą.

\*) Tadeusz Tołwiński. Urbanistyka. Warszawa. 1934. Wydanie z zapomogi Funduszu Kultury Narodowej.

Jest to bodajże pierwsze poważne polskie dzieło o urbanistycę, rezultat piętnastoletnich studiów profesora, który pierwszy na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej zorganizował katedrę budowy miast, nauki dotychczas u nas bardzo mało znanej. Należy zwłaszcza podkreślić historię polskich miast i ich ustosunkowanie do urbanistyki zachodu.

Pierwszy tom „Urbanistyki” jest właściwie wstępem do dyskusji nad urbanistycę nowoczesną. Poznanie starej formy jest koniecznością dla wyprowadzenia wniosków na przyszłość. W przeciwnym wypadku stanęlibyśmy w sytuacji Amerykanów, których żywiołowe budownictwo powojenne, nie oparte żadną tradycją ani doświadczeniem przeszłości, stworzyło anomalje, urągające najelementarniejszym potrzebom życia. Wyższość Europy polega właśnie na tym całym bagażu doświadczenia, które pozwala nam patrząc wstecz, snuć wnioski na przyszłość. I dlatego z prawdziwym pietyzmem każdy fachowiec powinien poznać historię miasta greckiego i warownych obozów rzymskich. To wszystko znajdziemy w książce prof. Tołwińskiego. Część druga, która ukaże się wkrótce, zawierać będzie zestawienie tego co na podstawie doświadczenia nowoczesna urbanistyka powie o przyszłości.

Kazimierz Proszyński

WYSTAWA RYCIŃ ART. GRAFIKÓW

W górnej sali Ładu urządzono Wystawę kilkunastu prac graficznych. Rzadko wystawiający Gardowski dał dwa pierwszorzędne drzeworyty, różniące się charakterem techniki i tematem: „Okno” i „Głowa z fajką”. W pierwszym ciemnym drzeworycie z wydobytą białą kreską mamy mnogość form, bogaty krajobraz podgórski widziany przez szyby okna, w drugim zupełnie inaczej pojętym, z jasnego tła wyłania się doskonale, konstrukcyjnie, zbudowana głowa. Cienkimi kreskami i siatką subtelnych linii zaznaczone są formy, linia mocniejszą pewne podkreślenia rysów. „Głowa” sprawia wrażenie rysunku, jest to jednak raczej drzeworyt, tylko technika jego jest odwrotna niż przy ciemnym — a mianowicie zostaje z deski wybrane wszystko co ma być białe, a pozostał tylko kontur, który w odbicie — będzie ciemny.

Krasnodębska i Gardowska w kolorowym drzeworycie „Stary Port” podkreśla walory światła. Tony małe i większe, płaszczyzny oświetlone i zacienione układają się w całość zwartą — kreska ściśle odpowiada kierunkowi formy.

W pełnym uroku „Powrocie z Hali”, czynnikiem światła nie odgrywa najważniejszej roli, jak miało to miejsce w poprzednim, wysuwa się natomiast na plan pierwszy zagadnienie kompozycji zamkniętej w półkolu.

Ewolucja talentu Konarskiej idzie w kierunku malarskości. „Śpiący górale” podkreślają już dążenie do operowania większymi formami. „Czerwone krowy” pochylające się ku wodzie i „Głowa”, niezwykle ciekawe w ujęciu, subtelnie miękkie z szeroko płaszczyznym traktowaniem, stoją już jakby na granicy litografji.

W przeciwieństwie do tej artystki Chrostowski w tematach lotniczych podkreśla dążenie do linearności, posługując się suchą, twardą kreską. Nieprzyjemnie uderza stylizacja drzew.

Mrożewski w swej „Chłopce” doskonały jest technicznie — prawie, że niema i w tym drzeworycie plam czarnych ani czysto białych — wszędzie dostrzegamy siateczkę subtelnie krzyżujących się linii. Przy technice jak zawsze drobniagowej, występuje korzystne uproszczenie tematu i uspokojenie zarysem. Zamiast wielu postaci — jedna.

Bogate i subtelne w technice, wydobywającej srebrzyste tony są drzeworyty Telakowskiej, poszukującej nastrojów uczuciowych.

Bartłomiejczyk wystawił śmiałego w kompozycji i w zestawieniu barw „Zbójnika” i kolorowe kwiaty i owoce — które należą jednak do sztuki dekoracyjnej.

Podowski najlepszy jest w akcie, w którym kreski osobne i mocne — wyraźnie idą za formą. Ręce „Staruszka” ekspresyjne —

przypominają Kulisiewicza — i odbiegają od całości.

U Jurgielewicz znakomite panujące nad techniką, pożądane byłyby pewne uproszczenia formy i tematu. Dostrzegamy tu, tak jak i u Goryńskiej, wpływ dawnych drzeworytów Skoczylasa.

Cieślowski daje tematy związane z poezją starych murów, wyróżnia się dobrą, mocną formą bez zbytecznego sentymentu i literackości w fragmencie kościoła Marjańskiego w Krakowie.

Prace znajdujące się na tej wystawie miałyśmy przeważnie możność oglądania już dawniej, jednakże powinny one wzbudzić zainteresowanie, gdyż orientują dobrze w drogach i poszukiwaniach dzisiejszego drzeworytu, i są charakterystyczne dla grupy warszawskich grafików.

J. Puciata-Pawłowska.

Mickiewicz a literatura niemiecka

Rozprawę na ten temat zaczęła drukować w praskiej „Germanoslavica” redaktorka polskiego działu ruchliwej „Slavische Rundschau”, dr. I. Saunowa. Jest to typowa praca doktorska, grupująca obok siebie szeregi faktów w sposób drobniagowy. Autorka nie uniknęła mimo to sprzeczności, a mimo wcale obfitej znajomości polskich opracowań tematu, nie brak u pominięciu nowszych prac w tym zakresie. W ogłoszonej dotychczas części rozprawy zestawiono szczegółowo pisma krytyczne Mickiewicza z okresu filomackiego z poglądami bardzo popularnego w swym czasie estetyka niemieckiego Sulzera. Autorka zaznacza — co jest ważne — ślady nowych poglądów estetycznych, które uczyniły z Mickiewicza przodownika polskiej teorii romantycznej.

Zeszyt zawiera nadto recenzje szeregu interesujących prac, dotyczących zagadnień słowiańskich i polskich, jak np. E. Maschke’go o zbudzeniu się świadomości narodowej na terenach Europy środkowej, ze stwierdzeniem, że nastąpiło ono w średniowieczu wcześniej u Polaków i Czechów, niż u Niemców, jak pracy zbiorowej „Současně divadlo u Slovanů”, gdzie część polską opracował prof. M. Szyjkowski, jak A. Zippera „Znajomość literatury polskiej w Niemczech”, a wreszcie wydawnictw polskich na VII Międzynarodowy Kongres Nauk Historycznych. (z)

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

PEDAGOGJA

T. Szczerba — Nauczanie podstaw gramatyki języka polskiego. Gebethner i Wolff.

St. Wiącek — Prace piśmienne dzieci w szkole. Gebethner i Wolff.

Wiącek St., Wiwczaruk A., Karpowicz A. — Prace w klasie pierwszej szkoły powsz. dwujęzycznej (polskim i ukraińskim). Gebethner i Wolff.

To samo dla klasy drugiej. Wiącek St., Wiwczaruk A., Karpowicz A. — Praca w klasie pierwszej szkoły powsz. Gbethner i Wolff.

To samo dla klasy drugiej. Karol Hławiczka — Nauczanie śpiewu w szkole powszecznej.

Carleton Washburne — Przystosowanie szkoły do dziecka „System winnetki”. Przełożył Józef Prechner. „Nasza Księgarnia”. 1934.

Piotr Boret — Instynkt walki. Psychologia — wychowanie. Tłum. M. Górka. „Nasza Księgarnia”. 1934.

Peter Petersen — Szkoła wspólnoty życia. Plan jenański wolnej powszecznej szkoły ludowej. Przekład dr. J. Jędrzychowskiej z przedmową prof. B. Nawroczyńskiego. „Nasza Księgarnia”.

NACJONALIZM A KULTURA

W listopadzie urzędziło Kolo Polonistów S. U. W. na powyższy temat wieczór dyskusyjny, zapraszając na głównego prelegenta znanego socjologa dra Aleksandra Hertza.

Odczyt ten był poświęcony w większej części analizie współczesnego nacjonalizmu. Prelegent wywołał elementy tego światopoglądu z potężniejszej w ostatnich latach przed wojną fali irracjonalizmu, wyrażającego się w modnych filozofjach Jamesa, Sorela i Bergsona. Z tego źródła wypłynęła nieufność do myśli, wiara w ślepy żywioł i w czyn. Nacjonalisci odrzucają arystotelesowską ideę uniwersalnego charakteru prawdy, prawdziwym jest dla nich to, co przyczynia się do wzrostu potęgi narodu i do rozwoju jego ekspansji. Podobnie odnosi się nacjonalizm do pozostałych wartości kultury. Współcześni nacjonalisci rezygnują z podbojów kulturalnych, z imperjalizmu w stylu Treitschkego; pragną oni przedewszystkiem zachować swój naród w czystości, w ścisłej izolacji i dlatego wszelkie wartości klasyfikują i oceniają pod kątem widzenia ich „swojskości” i „obcości”.

Przez odrzucenie postulatów bezwzględności i uniwersalizmu prawdy, na którym wspiera się kultura europejska, nacjonalizm nowoczesny jest światopoglądem akulturalnym, zasadniczo wrogim kulturze. Przyczynę zaś jego dzisiejszego rozkrzewiania się stanowi to, że klasa drobnomieszczańska rozkłada się i szukając ocalenia używa jako dźwigni mitologii nacjonalistycznej.

Z zastrzeżeniami w stosunku do tych tez wystąpił w dyskusji dr. B. Suchodolski. Stwierdził, że nieraz pluralizm prawdy bywa zbawienniejszym dla kultury od monizmu, o czym świadczy rozwój idei tolerancji od czasów średniowiecza. W ogólności z punktu widzenia kultury, ładu i kwestji ludzkiego współżycia nacjonalizm budzi niepokój nie dlatego, że odrzuca uniwersalizm Arystotelesa lecz przez to, że przedewszystkiem rozpała w człowieku instynkty antagonistyczne a później dopiero twórcze. A tylko rozwój twórczych instynktów człowieka daje rękojmię utrzymania ładu i zbudowania harmonijnego ludzkiego współżycia.

W tej kontrowersji wyraziła się pewna zasadnicza rozbieżność w poglądzie na istotę kultury. Dla Hertza kultura to zespół wartości duchowych, istniejących autonomicznie, luźno i dosyć niejasno związanych z życiem społecznym. I sens wartości kultural-

nych, takich jak prawda lub piękno, jest pozażyciowy, metafizyczny. Natomiast dla Suchodolskiego nie są one cenne dla samych siebie, przez sam fakt istnienia, lecz wartość ich mierzy się ich społecznym działaniem. Bo ostatecznie nie o prawdę i nie o piękno idzie, lecz o sprawiedliwą i doskonałą organizację życia zbiorowego.

Po p. Suchodolskim przemawiali liczni przedstawiciele młodzieży, reprezentujący wszelkie stanowiska od integralnego nacjonalizmu do ortodoksalnego marksizmu. Dyskusja miała charakter raczej wiecowy. Nic dziwnego, problem nacjonalizmu do tego stopnia rozgrzewa i roznamiętnia dzisiejsze umysły, że „akademicki” spór na ten temat jest niemożliwy.

W końcowej replice p. Hertz, polemizując z mówcami nacjonalistycznymi, ujawnił publiczność pięknymi akcentami osobistymi. Biła z jego słów wiara w naukową, obiektywną, czystą prawdę i miłość tej prawdy. Przeciwno antykulturalnym pędom irracjonalistycznym, pragmatyzmowi, bergsonizmowi, teorii mitów i t. p. prelegent wyzywał do walki i zwycięstwa ducha beznamiętnych badań naukowych, dążących do absolutnego i uniwersalnego poznania.

Ludwik Fryde.

POLONISTA

dwumiesięcznik

pod redakcją Dr. JULJUSZA SALONIEGO

Czasopismo poświęcone sprawom nauczania języka polskiego w szkołach powszecznych, średnich ogólnokształcących i zawodowych oraz zakładach kształcenia nauczycieli.

POLONISTA zamieszcza artykuły, dotyczące wszelkich zagadnień w zakresie nauczania języka polskiego, omawia sprawy celów nauczania języka polskiego, praktyczne próby rozwiązywania metod nauczania mowy, pisma, czytania, literatury i nauki o języku, wyrabianie sprawności językowej i dostarczanie materialnej wiedzy, budzenie zamiłowań do czytelnictwa wśród uczniów, sprawę kolekcji literackich, teatru szkolnego, bibliotek i innych instytucji szkolnych — kształcenie i dokształcanie nauczycieli-polonistów, zaznajamianie ich ze stanem nauczania języka ojczystego zagranicą.

Oprócz tego każdy zeszyt zawiera dział informacyjno-literacki, który obejmuje: artykuły o prądach, o zagadnieniach literackich, przegląd ruchu literackiego i wydawniczego, oceny ważniejszych prac z zakresu krytyki i historii literatury, oraz książek dla młodzieży.

Czasopismo to w chwili obecnej jest niezbędne dla każdego nauczyciela, chcącego właściwie realizować nowe programy.

Prenumeratę POLONISTY przyjmuje Administracja czasopisma w Warszawie, ulica Nowy Świat 23/25. Tel. 201-70. P. K. O. 24195.

Prenumerata w Warszawie i na prowincji wynosi rocznie zł. 10.—, półrocznie 6.—, zeszyt pojedynczy zł. 2.50, zeszyt podwójny zł. 4.—.

Rocznik wychodzi sześć zeszytów w odstępach dwumiesięcznych.

Redakcja: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.24.00; czynna poniedziałki, środy i soboty od godz. 18—20.

Administracja: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.91.08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.

Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor: Włodzimierz Antoniewicz

Wydawca: za Tow. Kultury i Oświaty Jan Kasiniński

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10



Terenu i owocem tego wysiłku był w nie Lord Jim.)

Nie pójdziemy tu za przykładem G. Marlowa (ta \*) i nie będziemy dowodzić, że stał się Patnà to Polska, Jim to Konrad Korzeniowski, a stanowisko, które sobie zdobył Jim w Patnaniu to alegoryzacja sławy i wagi angielskiej Józefa Conrada.\*\*) Nie Idzie tu tylko o uprzytomnienie, że sytuacja moralna, w jakiej się znalazł Jim po swoim nieszczęsnym „skoku”, wydawała się (może wydała się nam?) Conradowi analogiczna pod wieloma względami do tej, w jakiej się on sam początkowo znalazł wewnętrznym, właśnie gdy wyobraźnia jego była zajęta tą postacią; i że kiedy Marlow, który jest personifikacją sumienia, samokontroli — no i talentu — autokraty — kiedy Marlow, zastanawiając się nad tym, dlaczego ten człowiek i ten przypadek moralny tak uporczywie, tak niesamowicie wprost przykleja do siebie jego uwagę — przypuszcza: „możliwa w moim podświadomym nadzieja, że znajdę to coś, tę jakąś głęboką, odkupiającą przyczynę, miłosierne wyjaśnienie, cię praconiwającej wymówki...” i kiedy zadaje sobie pytanie: „Czy ze względu na siebie chciałbym znaleźć jakiś cię wymówki dla tego młodzika, którego nigdy przedtem nie widziałem” (\*\*). — to Marlow w tym momencie utożsamia się z Konradem Korzeniowskim zupełnie ściśle.

Co się tyczy postaci Jima — ma on już się ze swego twórcy niemało. Począwszy od obrotu, raz lat chłopięcych, kiedy to „wśród gwaru dwóchset głosów zapamiętywał się często, przeżywając myślą zawczasu życie marynarza na modłę lekkich powieści. Wyobrażał sobie, że ratuje ludzi z tonących okrętów, rąbie maszty wśród huraganu, że płynie u końca liny przez wzburzone fale; to znów zdawało mu się, iż jest samotnym rozbitkiem, półnagim i bosym, i chodzi po golych skalach, szukając skorupiaków, aby odpędzić śmierć głodową. Stawał czoło dzielnym na podzwrotnikowych wybrzeżach, usmierzał bunt na pełnym morzu i w drobny członek wśród oceanu budził ducha w rozpaczonych ludziach — będąc zawsze wzorem obowiązkowości — niezłomny jak bohater z książki”. I potem wspomnienia praktyki okrętowej — i nawet ten szczegół, że „został ugodzony spadającą reją: spędził wiele dni (w szpitalu), leżąc nawnak ogluszony, poturbowany, zwątpiały i pełen udręki, jakby na dnie niespokojnej otchłani” — co się Korzeniowskiemu zdarzyło w 1887 r. na statku Highland Forest w drodze z Amsterdamu do Samarangu.

Dalej zaś losy zewnętrzne są różne i ludzie mało raczej podobni; — ale wspólna im jest wewnętrzna „walka jednostki, usiłującej ocalić swoje pojęcie o tym, czym być powinien”. I wspólna jest „tęsknota za utraconym miejscem w szeregach”. Tęsknota, która teraz dopiero zwała się na Conrada całym swoim ciężarem, teraz, kiedy Jim „powiedział, że nigdy już do kraju nie wróci. Broń Boże! nigdy! — Gdyby był zdolny do masłowniczego ujawniania swych uczuć, wdrygwałby się na tę myśl i pod jego wpływem wybiegłby się wdrygnęli... Na myśl o powrocie do kraju kostniał w rozpaczliwym bezruchu, z głową opuszczoną na piersi i bolesnym grymasem na ustach... jak wobec czegoś oburzającego, czego znieść nie podobna”.

Jakże rozumie go i jakże współczuje Marlow. Myśli naprzemian to o nim, to o tym wspólnym im obu kraju, „kraju tak oddległym, że wszystkie jego domowe ogniska wydawały mu się jednym ogniskiem, z którego najskromniejszy z nas ma prawo zasiąść”. „Każde źdźbło trawy ma swoje miejsce na ziemi, skąd czerpie życie i sily; i tak samo człowiek jest wrośnięty w kraj, z którego czerpie swą wiarę wspólną z życiem...” „Wę-

\*) Pierwszą wzmiankę o Jimie spotykamy w liście do Garnetta z maja r. 1898. Ale wtedy był zacząty jako krótka nowela. Zarzucił ją następnie na szereg miesięcy — i dopiero później w ciągu 1899 powrócił do niej jakby z nowym pomysłem i nowym natchnieniem, które z noweli uczyniło wielką powieść. Sam podpisał pod nią daty: wrzesień 1899 — listopiec 1900.

\*\*) The Polish Heritage of Joseph Conrad. London, 1929.

\*) Morf idzie tak daleko, że sądzi, iż ojca Jima zrobił Conrad pastorem na pamiątkę pobożności Apolla Korzeniowskiego — a tuan Jim wydaje mu się echem tego, że o młodym Korzeniowskim mówiono napewno w domu jego wuja „pan Józef”.

\*\*) Tekst Jima przytaczam w przekładzie A. Zagórskiej.

czytania „kraj” — i „krajowi” taki chłopiec

życie „czesne Konrada Korzeniowskiego, żeby się nad nim zastanowić. Jest rzecz jasna, „kraj” pulsuje tutaj — „czuciem szczerym i szczerym, tak właśnie jak myśl o „kraj” — i „krajowi” taki chłopiec

Przytem stopień naturalnego zawstydenia, który zależy od stopnia poczucia winy — tutaj staje się tak wysoki, że przepaść między winowajcą a obrażonym przedmiotem jego miłości wydaje się winowajcy nie do przebycia. I wiemy, że było — a przynajmniej bywało tak z Conradem, że „bał się spotykać z Polakami, jakby się nie mógł opędzić myśli, że ciekawości ich i oznakom podziwu nawet — towarzyszy w głębi duszy coś z tych uczuć, które tak gwałtownie i bezlitośnie wyraziła kiedyś Eliza Orzeszkowa.

Ale na czemże to właściwie mogła polegać w jego własnym poczuciu ta wina wobec kraju i co możemy myśleć o niej naprawdę? Z przytoczonych wyżej wynurzeń we Wspomnieniach, a ponieważ i z tego co przezniera poprzez karty Lorda Jima wynikałoby, że czynem, który niepokoił sumienie patrio-tyczne Conrada, było samo jego dobrowolne wyemigrowanie z Polski — opuszczenie jej obowiązków do walki „szeregów”.

Oczywiście nie walkę zbrojną mógł mieć na myśli — tej wówczas nie było, nie zanosilo się na nią — i zresztą do niej mógł się być zawsze stawił. Taką zatem tylko, w której, według słów Zuka, lepszym, cenniejszym żołnierzem był nauczyciel w Ponemóniu, niż sam polski Plato w Bostonie. I niczego na usprawiedliwienie swoje nie był w stanie (czy nie chciał) przytoczyć prócz tego jednego, że... „służność miał jego guwerner, kiedy go nazwał „niepoprawnym, beznadziejnym Don Kiszotem”. Ułakł się wprawdzie zarozumiałości takiego porównania, „Bron Boże, żeby jaki niegodny byle kto umknął zasłużonego osądu przez ucepianie się strzemiem wzniesłego caballera. Jego fantazja była bardzo szlachetna i zupełnie nieegoistyczna”... „Ale miał i on słabe strony”. „Naczytawszy się romansów zapragnął najwinnie wyknąć się cało nieznośnej rzeczywistości... I trzeba jednak przyjąć, że musi być niejaka słuszność w zgodnej opinii całej wioski. Proboszcz i balwierz nie byli nierozumni w swoich rygorach... Hidalgo z La Mancha nie był dobrym obywatelem...” (\*\*)

Przytaczam więc wyżej

Przytaczam więc wyżej

Przytaczam więc wyżej

Przytaczam więc wyżej

Przytaczam więc wyżej

Przytaczam więc wyżej

Przytaczam więc wyżej

Przytaczam więc wyżej

Tak, tylko kiedyś wreszcie należało tej donkiszoterji położyć koniec. Bardzo to ładnie być dzielnym marynarzem, ale Polska marynarki niesieć nie ma i musi walczyć dla tego nawet nauczyciela w Ponemóniu. Tymczasem młodego Korzeniowskiego przystało się toż, że ponieważ Polska marynarki nie ma — to on musi być marynarzem angielskim. I lata mijały i nie mógł już mieć na swego usprawiedliwienie chłopięce „wieku — a nie wracał.

Atoli i teraz jeszcze — (teraz, to znaczy np. po jakich dziesięciu latach, marynarskiego życia) — mógłby powiedzieć na swoją obronę niejedną. Gdzież to miał wracać i z czem? Do wiosna w Ukrainę — uczyć się gospodarować? Kiedyż synowi Apolla Korzeniowskiego nie wolno tam było przyjechać nawet na krótko, i wuj sam naregał na niego, żeby przyjął poddaństwo angielskie (\*\*), choć by dlatego, żeby go mógł u siebie od czasu do czasu widywać? Jąc się czegoś w innym zaborze? Kiedy studia i dyplomy miał tylko marynarskie. Nie — nie brakło „okoliczności łagodzących” i co tu dużo mówić, mógłby sobie kapitan Korzeniowski do „konca długiego życia żeglować na różnych „Narcyzach” i „Torrensach” a nikomu by nie przyszło do głowy dopominać się u niego o niego, dopóki — tylko żeglował.

To jasne przecież, że proces polski z nim o prawo do niego zaczął się i mógł się zacząć dopiero od chwili, kiedy się stał znakomitym pisarzem. Nie o emigrację człowieka szło, tylko właśnie o „emigrację zdolności”.

Czyżby Conrad tego nie rozumiał? Nie mógł nie rozumieć! Czemuż więc ujmuje swój „kompleks winy” tak, jakby to prostsze o wiele i najistotniejsze pytanie: **dlaczego pi- sze po angielsku?** — chciał wyminąć i wołał już stanąć pod szerszym, ale nie tyle naszym, co swoim własnym oskarżeniem: **dlaczego wyemigrował?**

Przyczynę odkryć nie tak trudno. Naprzód, w jego własnej świadomości angielski język jego utworów był, niedająca się już uniknąć wtedy, gdy zaczął pisać, konsekwencją emigracji. W niej zatem czuł grzech pierwotny. Powtóre, na pytanie, czemu nie pisze po polsku, było mu, i Polakom i sobie samemu także, odpowiedzieć stokrotnie trudniej. A było to pytanie tem kłopotliwsze, że wciąż zachowywało swą aktualność. Nie

siebie zaś: „sùrement son Sancho”. (We wspomnieniu pośmiertnym w paryskim Journal Littéraire z 16 sierpnia 1924.

\*) Wołał niż francuskie ze względu na przymus służby wojskowej we Francji i możliwość przelewania krwi „Bóg wie na czyją korzyść”. (Zob. list Tad. Bobrowskiego z czerwca 1877 w zbiorze: Aubry: J. C. Life and Letters, tom I, str. 48).

\*) Tak twierdzi Ford Madox Hueffer w swej książce: Joseph Conrad. A personal Remembrance 1924. Ale we francuskim wspomnieniu pośmiertnym nazywa go „le plus grand maître, le plus grand dompteur de ces choses sauvages que sont les mots, les rythmes, les phrases et les cadences de la langue anglaise — les plus grands que nos îles aient vu...”

\*\*) Przed uzyskaniem poddaństwa angielskiego, co nastąpiło w r. 1886, i przed uznaniem go przez Rosję przyjeżdżał do domu nie mógł.

\*) „Gdy mówię, piszę, lub myślę po angielsku” i t. d. w liście do Spirydjona Kliszczewskiego z 13 października 1885. W następnym roku odważył się już na pierwszą próbę literacką, pisząc na konkurs nowelę The black Mate.

\*) „Gdy mówię, piszę, lub myślę po angielsku” i t. d. w liście do Spirydjona Kliszczewskiego z 13 października 1885. W następnym roku odważył się już na pierwszą próbę literacką, pisząc na konkurs nowelę The black Mate.

\*) „Gdy mówię, piszę, lub myślę po angielsku” i t. d. w liście do Spirydjona Kliszczewskiego z 13 października 1885. W następnym roku odważył się już na pierwszą próbę literacką, pisząc na konkurs nowelę The black Mate.

\*) „Gdy mówię, piszę, lub myślę po angielsku” i t. d. w liście do Spirydjona Kliszczewskiego z 13 października 1885. W następnym roku odważył się już na pierwszą próbę literacką, pisząc na konkurs nowelę The black Mate.

Było to zatem tak, że... „póki cały car  
sżyja... póki Nowosilow pija... nie uwie-  
że nam sprzyja Jezus Maryja”. Ale o-  
b się — nie, raczej dopiero zaczyna się  
ać — coś, co wygląda na dowód, że ja-  
moralny porządek rzeczy istnieje. Czy  
naprawdę? W każdym razie ta rodzaja  
słowa u... zafia jeszcze na obrzydzą prze-  
ość „Le prussianisme — voilà l'ennemi!”  
Inieśli się nagle głos i palec wskazujący  
y. Któż nie dosłysz, że był to — po-  
ncusku — w angielskiej rozprawie — głos  
liski?

I to jest tej rozprawy finał. Była óny  
erwszą próbą politycznego „działania”  
onrada, która zresztą — zdaje się, że prze-  
zmiała bez zcha. Drugą wywołała na-  
stępna wojna — balkańska. Z początkiem  
stopada 1912 r., kiedy armja bulgarska sta-  
ła już u bram nieledwie Konstantynopola,  
Conrad zatroszczył się nagle o los tego mi-  
asta tak dalece, że wystąpił w The Times  
(XI) z projektem uczynienia go „colner”  
pod wspólnym protektoratem wszystkich  
wycięskich państw balkańskich. Wydawał  
mu się czemś „wulczaj cem tradycjom staro-  
go Bizancjum, żeby się miało dostać w po-  
siadanie Bulgarji. Najprawdopodobniej jed-  
nak nie sam ten sentyment historyczny in-  
spirował ową troskę. Kiedy mu ktoś powie-  
dział, że jego projekt to woda na młyn  
rosyjski, obruszył się tak, że nazwał ten za-  
rzut „pchnięciem” (thrust). „Rosji... od-  
bierał — byłoby napewno łatwiej wypowie-  
zić wojnę Bułgarji i wziąć jej Konstanty-  
nopol, niż wyrzucić przemoc na bezbron-  
nem wolnem mieście, pozostającym pod  
gwarancją europejską, w którejby Rosja sa-  
ma uczestniczyła”. Otóż to tu bodajże zdra-  
dza się istotny spiritus movens tego dru-  
giego publicystycznego wystąpienia Conra-  
da: <sup>27)</sup> leki, żeby się Konstantynopol wraz z  
Dardanelami nie dostał wkońcu Rosji.

Myślał już wtedy zapewne z goryczą, że  
jego podniecenie i przewidywania w r. 1905  
okazały się — conajmniej grubo przedwczes-  
ne. Nie widział postępów rozkładowego  
procesu „autokracji” rosyjskiej, a z wojny  
balkańskiej skłonny był wysnuwać dla niej  
horoskopy — jak widać — raczej pomyśln-  
e. To też kiedy na wiosnę r. 1914 rozma-  
wiał z Marjanem Dąbrowskim, <sup>28)</sup> powiedział  
mu na zakończenie: „Gdy wmyślam się w  
obecną sytuację polityczną, c'est affreux”.  
Nie mogę myśleć o Polsce często, bo gorz-  
ko, boleśnie, źle... Angliacy mają słowa, któ-  
remi się żegnają: Good luck! Ja Panu te-  
go powiedzieć nie mogę”.

Był jak najdalej od przecucia, że zbli-  
ża się kolosalny przewrót dziejowy i że  
początek wydarzeń przelomowych zaskoczy  
go właśnie w Polsce. W lipcu był już tak  
wylącznie przejęty myślą o podróży do kra-  
ju, że nawet nie czytywał gazet, a przyno-  
szone przez znajomych wieści ledwie je do-  
chodziły do jego świadomości. Wybrał się  
z całą rodziną, która — jak pisał do Gals-  
worthy'ego — „byłaby go rozzerwała na  
sztuki”, gdyby nie przyjął zaproszenia. Ale  
dla niej — pociąg gdzieś indziej <sup>29)</sup> — źródłem  
radości była perspektywa „podróży w prze-  
strzeń — ja czulem coraz bardziej i bardziej  
oczywiście, że dla mnie jest to podróż w  
czas, w przeszłość; perspektywa dość strasz-  
na dla najbardziej zrównoważonego, cóż dopi-  
ero dla takiego, co nie umiał porządku i  
ciągłości swego życia ustrzec przed własne-  
mi impulsami — tak że niekiedy przedstawia-  
ło się to życie jego sumieniu jak szereg  
zdrad”.

Nie wiadomo, czy i w jakim stopniu  
czuł się w Krakowie i w Zakopanem „u  
siebie”. Ale żona jego odczuwała wyraż-  
nie, że jest on tam u siebie. „Rozumiałam —  
mówi — męża mojego o tyle lepiej po tych  
miesiącach spędzonych w Polsce. Tyle ry-  
sów jego charakteru, które były dla mnie  
obce i nieprzeniknięte dotychczas, przybra-  
ły teraz właściwe proporcje. Zrozumiałem, że  
jego temperament jest to temperament jego  
rodaków. Była to ciężka próba dla moich  
nerwów te dwa miesiące między obcymi” <sup>30)</sup>

D. c. n.  
27) Zob. Last Essays by Joseph Conrad, London 1926, str. 221 i nast.  
28) Mężem znakomitej autorki Nocy i dni. Zob. Rozmowa z J. Conrادم. Tygodnik Ilustrowany z 16.IV.1914.  
29) Poland revisited.  
30) Poland revisited.

II.

Jakąż tedy była, czem się manifestowała  
owa „miłość” Conrada, której „splót sprzecz-  
ności w naturze ludzkiej” nadawał niekiedy  
rozpaczliwy wygląd zdrady?”

Nazewnątrz, przez bardzo długi czas nie  
manifestowała się niczem. Nawewnątrz już  
tem samem, że ów „rozpaczliwy wygląd”  
przybierała chwilami w jego własnych  
wzrach. I wogóle tem, że nie przestawał jej  
czuć, że czuł ją nie raz niezmiernie in-  
tensywnie. „Jeśli Pan zechce mi wierzyć na  
słowo, to niech Pan powie, że w ciągu moich  
żeglów po globie ziemskim nie oddalałem się  
nigdy ani myślą ani sercem od mojego kraju  
rodzinnego i spodziewam się być tam przy-  
jęty jak rodak mimo „mojego anglicyzmu”.  
Tak pisał 15 listopada 1903 r. do Kazimierza  
Waliszewskiego na wiadomość, że ten chce  
ogłosić o nim artykuł w... samem piśmie,  
gdzie go przed kilku laty... bardzo sponie-  
wierano...” <sup>19)</sup>

Jakoż już w r. 1881 stwierdzał z uznaniem  
wuj, że „cokolwiek dotyczy naszego kraju  
porusza Cię, choć jesteś tak daleko. Liczę na  
Ciebie — dodawał — że się to nigdy nie zmie-  
ni; a wielu jest takich, co się nie troszczą o te  
rzeczy, mimo że siedzą w domu. Z tego po-  
wodu cieszę mnie to co piszesz i błogosławię  
Cię podwójnie... Choć jesteśmy parjasami,  
obrabowanemi z politycznego bytu i z pra-  
wa do rozwoju jako naród, winniśmy zachow-  
wać i bronić naszą indywidualność aż do  
czasu kiedy idea oddawna należąca się zems-  
ty stanie się wkońcu faktem i da nam byt  
narodowy rzeczywisty” <sup>20)</sup>

Listy Konrada do Tadeusza Bobrowskie-  
go, niestety, zaginęły. <sup>21)</sup> Nie wiemy zatem  
jako to sprawy „dotyczące naszego kraju”  
poruszały go wówczas; i nie wiemy też jakie  
szczególnie poruszały go później. Tylko z li-  
stu o cztery lata późniejszego, do poznanego  
w Cardiffie emigranta polskiego „Spirydziona  
Kliszczewskiego” <sup>22)</sup> wiemy, że wiatry wuja w  
przyszłość Polski — wtedy już w każdym  
razie — nie podzielał. Politykę międzynaro-  
dową śledził poprzez gazety „w nastroju roz-  
paczliwej obojętności; bo jakiegokolwiek mog-  
być zmiany w losach narodów żyjących, dla  
umarłych niema nadziei i niema zbawienia.  
Przeszliśmy przez bramę, gdzie kławią i o-  
gniem napisano: Lasciate ogni speranza — i  
nie nam nie pozostaje tylko ciemności za-  
pomnienia. Wobec takiego nieszczęścia naro-  
du” — wyciągał wniosek dla siebie — „szczę-  
ście osobiste w swej absolutnej formie ogóln-  
ego zadowolenia i spokoju serca jest nie-  
możliwe. Owszem zgadzam się z Panem, że  
na wolnej i gościnnej ziemi nawet najbar-

... jak trskich  
... pisal wywe  
... s-loscej ene  
... jest milziwa  
... absolutna  
... Tam — dla  
... Russes, b i ni  
... braterstwawal  
... ja za nie zawsz  
... paganda (jok do  
... ci wytna) zne  
... rodowego, kto  
... przedmiotem  
... obojętny na to, co Pa  
... moje zainteresowan  
... myśl chodzi innemi dro  
... gnie czego innego, mo  
... wodu innego rodzaju bę  
... ry poświęca swój entu  
... sprawie ludzkości, napew  
... czego ja muszę — ja potr  
... moją myśl nietkniętą jako ostatni  
... ności sprawie, która jest stracona  
... ko co mogę uczynić. Rozrzucilem moje życie  
... na cztery wiatry ((à tous les vents du ciel),  
... ale zachowałem moją myśl. To mało — to  
... wszystko — to nic — to życie samo” <sup>23)</sup>

I nie było w tem zmiany z biegiem lat.  
W liście do tego samego (coraz bliższego)  
przyjaciela, w jesieni 1907 r. narzekał, że „ży-  
cie wspomnieniami jest okrutnem zajęciem.  
Ja co widzę życie podwójne, jedno zapelnio-  
ne jedynie przez cienie, które w miarę jak  
lata mijają stają się coraz droższe — wiem  
co to jest Garnettowi, który mu w tym  
samym czasie jego walkę z cenzurą teatralną  
(w Anglii) <sup>24)</sup> usiłował wyperswadować jako  
darażną, odpowiadał jakby w otoczeniu tych  
ciemności: „Ty zawsze pamiętasz, że jestem  
Słowianinem (to jest: Twoja idee fixe), ale  
zdajesz się zapominać, że jestem Polakiem.  
Zapominasz, że myśmy przywykli chadzać w  
bój bez iluzji. To wy, Brytyjczycy, chodzicie  
tylko po zwycięstwo”.

O boju sam w skrytości ducha ni rzyl.  
Wbrew tylekroć wyrażanej niewierze w  
przyszłość — gorączkowo szukał wśród zda-  
rzeń politycznych jakichś jego perspektyw.  
Swoj stosunek do Anglii usiłował moralnie  
podpierać tem, że widział w niej potencjal-  
nego nieprzyjaciela Rosji. Ford Madox Huef-  
fer, z którym Conrad przez pewien czas lite-  
racko współpracował — opowiada, że w cza-  
sie wielkiej wojny wpadł mu przypadkiem w  
ręce spory pakiet jego listów, pisanych do  
jakiegoś rodaka jeszcze z okretów. Przerzu-  
cał tylko te listy, bo go „udziły”. „Každy  
z nich — pisze — był rodzajem esesju na te-  
mat międzynarodowej polityki i ciekawe by-  
ły chyba przez to, że były tak nawskroś, zu-  
pełnie ale to zupełnie (to all intents and  
purposes completely) ... nieciekawe. Były tyl-  
ko w jednym sensie namiętne; mianowicie  
w tem, że pełne pretensji, żeby Wielka Bry-  
tanja przyłączyła się do tej czy innej ko-  
mbinacji przeciwko Rosji. Mogło to być z  
Niemcami, Austrią, Francją — z kimkolwiek,  
bądź, byle tylko wojować z Niedźwied-  
ziem” <sup>25)</sup>

Jakoż zgadza się to z zachowaniem z r.  
1885 listami do Spirydziona Kliszczewskiego, z  
z których widać jak Conrad reaguje na zmia-

<sup>19)</sup> Zob. Pod dachem Conrada w tygodni-  
ku Kultura, styczeń 1932.  
<sup>20)</sup> Zob. Kraj 1904 styczeń i luty; K. Waliszewski: Polski powieściopisarz w angielskiej literaturze, pierwsze i dziś jeszcze cieka-  
we studjum o Conradzie po polsku. List wy-  
żej cytowany drukowany w zbiorze: J. C.  
Lettres françaises, Paris, 1929, str. 55.  
<sup>21)</sup> List z 15.VIII. 1881 przytoczony w  
przekładzie angielskim przez J. Aubry Jo-  
seph Conrad, Life and Letters I, str. 66.  
<sup>22)</sup> „Niestety” nictylko ze względu na war-  
tość biograficzną. Miały zapewne i artystycz-  
ną. Niedarmo wuj: w liście z 20 czerwca 1881  
(p. Aubry I, c. str. 64) zachęcał: „Skoroś nie  
zapomniał Twojej polszczyzny (niech Cię  
Bóg błogosławi; moje błogosławieństwo już  
masz) i nawet piszesz bardzo dobrze, powra-  
cam do tego, o czem już nadmienialem: By-  
łoby doskonale, gdybyś pisywał do Wędrow-  
ca w Warszawie... Jestem pewien, że to co pi-  
szesz wszystkichby bardzo interesowało. A  
byłoby to zadzierzgnięciem wężla z ojczyzną  
i byłoby aktem pietyzmu dla pamięci ojca,  
który pragnął służyć i służył swojej ojczy-  
źnie piórem”.

<sup>23)</sup> Por. W. Chwalewik: Józef Conrad w  
Kardylie, Ruch Literacki, 1932, Nr. 8.  
<sup>24)</sup> Zob. artykuł p. t. The Censor of Plays  
przedrukowany z Daily Mail w Notes on  
Life and Letters.  
<sup>25)</sup> Joseph Conrad, A personal remem-  
brance str. 95. „It is to be hoped — dodaje —  
that they will not be disinterested”.

... jak trskich  
... pisal wywe  
... s-loscej ene  
... jest milziwa  
... absolutna  
... Tam — dla  
... Russes, b i ni  
... braterstwawal  
... ja za nie zawsz  
... paganda (jok do  
... ci wytna) zne  
... rodowego, kto  
... przedmiotem  
... obojętny na to, co Pa  
... moje zainteresowan  
... myśl chodzi innemi dro  
... gnie czego innego, mo  
... wodu innego rodzaju bę  
... ry poświęca swój entu  
... sprawie ludzkości, napew  
... czego ja muszę — ja potr  
... moją myśl nietkniętą jako ostatni  
... ności sprawie, która jest stracona  
... ko co mogę uczynić. Rozrzucilem moje życie  
... na cztery wiatry ((à tous les vents du ciel),  
... ale zachowałem moją myśl. To mało — to  
... wszystko — to nic — to życie samo” <sup>23)</sup>

Myśli się tutaj mimowoli, że z tem ostat-  
niem — terytorjalnem — prorocentem łączył  
polskie nadzieje narodowe. I jest się skłon-  
nym podziwiać czujność jego instynktu, kie-  
dy się czyta dalej, że — zaledwie mu te  
nadzieje zaświtały — poczuł natychmiast  
zagrożenie ich z innej strony i tam odrazu  
wzrok swój i czytelników swoich kierował.  
Niedawny zwolennik przynierza angielsko-  
pruskiego przeciw Rosji — teraz, z chwilą  
kiedy „prerażające widmo” autokracji ro-  
syjskiej straszyć go przestawało, spostrzegal  
z niemielszym strachem nowe — groźniej-  
sze o tyle, że nie jest widmem moralnego  
próchna, że jest potęgą naprawdę. Sprzy-  
mierzenie to niegdys tamtego i „wspólnik  
nieprawości”. „Wspólna zbrodnia, obu ce-  
sarsstw jest dokładnie określona przez linję  
granicy biegnącej przez polskie prowincje”.  
Ta granica jest za blisko Berlina. Czy nie  
zechcą teraz Niemcy wyzyskać sytuację?  
„Droga do prowincji bałtyckich wiedzie  
przez Niemen i przez Wisłę”.

Za temi myślami powstaje wizja zbliż-  
ającego się okresu wojen „straszniejszych niż  
dynastyczne”. „Wspólna zbrodnia, obu ce-  
sarsstw jest dokładnie określona przez linję  
granicy biegnącej przez polskie prowincje”.  
Ta granica jest za blisko Berlina. Czy nie  
zechcą teraz Niemcy wyzyskać sytuację?  
„Droga do prowincji bałtyckich wiedzie  
przez Niemen i przez Wisłę”.

Wiara w postęp? Wiara w nadejście  
czasów Sprawiedliwości i Zgody? — to coś  
tak niezwykłego w posępnęj duszy Conra-  
da, że trudno wierzyć oczom. Takiego  
więc cudu była zdolna dokazać — na chwilę  
przynajmniej — pierwsza wielka klęska Ros-

<sup>26)</sup> K. W. Zawodźński wyraził kiedyś  
przyzupuszczenie, że nawet na decyzję porzu-  
cenia marynarki francuskiej i przeniesienia  
się do angielskiej mogła wpłynąć u Conrada  
w r. 1878 antyrosyjska postawa ówczesna  
Anglii i równoczesne „zarysowanie się na  
kongresie berlińskim antagonizmu niemiec-  
korozyjskiego, co kolei kierowało ku al-  
jansowi z Rosją Francją. (Zob. Wiadomo-  
ści Literackie 1927 nr. 39: Nieuwzględnione  
motywy decyzji życiowej Conrada.

odczul całą wielkość... abłąkanej pod...  
 zwałkami dziewczyny. ...st zaś tragicz-  
 ne to zwycięstwo... w sposób bardzo  
 niezwykle, podpala „burgalow”, gdzie tra-  
 gedja się rozegrała, pali w nim zwłoki Leny  
 i sam ginie w ogniu. „Myślę — powiada  
 ko co wspomniany świadek — że nie ma  
 znieść własnych myśli wobec jej zwłok, to  
 ogień oczyszcza wszystko”.

Tak ujęty finał powieści uderza swą nie-  
 zwykłością, patosem, sięgającym niekiedy  
 granic niemal melodramatu. Troje ludzi gi-  
 nie od kul, Jones topi się w morzu, Heyst  
 spala się w budynku, zakończone godne ro-  
 mantycznego „romansu okropności”. Sam  
 autor podkreśla patos sceny bardzo wyra-  
 źnie, wyrzucając ją na tło gróźnej burzy cykl-  
 onowej, oraz mieszając — znowuż wed-  
 le modły romantycznej — groteskowość z  
 wzniosłością, tragiczne przeżycia Leny z  
 brutalnym mizdrzeniem się rozamowanego  
 bandyty, czy zgrzytliwym cynizmem jego  
 szefa. Co większa, przy pomocy bardzo in-  
 teresującego zabiegu technicznego, wprowa-  
 dzenia jakgdyby refrenu, który bardzo silnie  
 podkreśla ów fascynujący wpływ noża na  
 dziewczynę, i to noża, nazywanego kil-  
 krotnie „żądlem śmierci”, przygotowuje wy-  
 soce patetyczną scenę rozmowy Leny z Hey-  
 stem, ostatniej rozmowy i pożegnania z  
 „ukochanym” (beloved), ocalonym od zgu-  
 by. Na wargach konałcej gra „boski blask”  
 o grobie jej zają mówić świadek „niech niebo  
 ma w opiece to, co doznało oczyszczenia”.

Obojętna, jak będziemy oceniać ten fi-  
 nał powieści, zachwycać się jego poetycz-  
 nością czy zarzucać mu jej nadmiar, nie-  
 wątpliwe jest jedno, że ujęcie tragedji sam-  
 buraniskiej wybitnie odbiega od metod,  
 stosowanych w romansie, choćby nawet tak  
 egzotycznym, jak „Zwycięstwo”. Jakoż  
 istotnie trudnoby było przytoczyć zjawisko  
 paralelne z dziejów powieści angielskiej, z  
 jej przysłowiem „happy endem”, choć  
 bez trudu wskazałby można na istnienie  
 podobnych zakończeń w powieściach pol-  
 skich. Przecież zarówno „Pożary i Zglisz-  
 cza” Rodziewiczówny, jak „Dzieje Grze-  
 chu” Zeromskiego zamykają się w sposób  
 przypominający „Victory”, i to tak dalece,  
 że gdyby się miało pewność, że Conrad  
 romans te czytał, możnaby mówić o jego  
 od nich zależności.

Zdaje się jednak, że po ujętych literacko-  
 kę tragedji na Samburanie sięgnąć trzeba  
 nieco głębiej wstecz, bo aż do młodzień-  
 czej poezji Mickiewicza, do dobrze Con-  
 radowi znanej „Grażyny”. W powiastce tej  
 bohatera księżna litewska, występująca w  
 obronie honoru męża, staje do walki z kom-  
 turem krzyżackim, otrzymuje w pierś śmiertelny  
 postrzał, przewieziona do zamku, błaga  
 Litawora o przebaczenie i umiera, on  
 zaś nie mogąc i nie chcąc przeżyć zmarłej,  
 rzuca się w płomień stosu, pożerające jej  
 zwłoki.

Obok paralelizmu tematycznego, a  
 ogólnie oczywista ujęciu wydarzeń, w  
 szczegółach bowiem występują zupełnie na-  
 turalne różnice, uderza jedno jeszcze, paralelizm  
 kompozycyjny. O śmierci Grażyny  
 czytelnik dowiadyuje się z „epilogu wydaw-  
 cy”, powtarzającego tu słowa giermka,  
 świadka ostatnich chwil księżny. Relację o  
 losach bandytów i calopaleniu Heysta czy-  
 telnik „Victory” otrzymuje z ust przygo-  
 dowego widza tragedji, zdającego raport bez-  
 imiennemu dygnitarzowi.

Rzecz jasna, że w zestawieniu tem nie  
 chodzi mi bynajmniej o zaspokojenie cie-  
 kawostki wpływologicznej, stąd nie zaryzy-  
 kowałbym dowodu, że Schomberg, repre-  
 zentujący „psychologję bezwątpienia nie-  
 miecką”, jak to zaznacza sam Conrad we  
 wstępie do swego romansu, jest potomkiem  
 mickiewiczowskich Krzyżaków. Pragnęłam  
 tu natomiast uwydatnić, obok uderzającego  
 pokrewieństwa finałów „Victory” i „Gra-  
 żyny”, coś innego, pochodzenie mianowicie  
 owej znamiennej poetyczności w zakoń-  
 czeniu powieści angielskiej. Czyżby poe-  
 tyczność owa była rezultatem bezwiednego  
 odtworzenia tej koncepcji bohaterstwa, któ-  
 ra pod wpływem rozczytywania się Con-  
 rada w Mickiewiczu, wytworzyła się w psy-  
 chice powieściopisarza, by po latach wynu-  
 rzyć się na powierzchnię świadomości i zna-  
 leźć sobie tak niezwykle wyraz w zakoń-  
 czeniu jego romansu o tragedji sambura-  
 nskiej? Odpowiedź całkiem pewna, jest jednak wy-  
 soce prawdopodobna.

IRENA RAKOWSKA-LUMIEWSKA

## U KONRADA KORZENIOW

30



Joseph Conrad w 1923 r. Olejny portret Waltera Tittla

W pierwszych dniach czerwca 1924 r. je-  
 chaliśmy, ja i moja towarzyszka p. Swie-  
 żawska, z Londynu do Oswalds, gdzie mie-  
 szkał mój krewny, Konrad Korzeniowski —  
 Joseph Conrad.

Z obu stron toru kolejowego słała się  
 nieskończona zieloność łąk i pastwisk;  
 gdzieś widać było wielkie przestrze-  
 nie, pokryte chmielikami, tak charaktery-  
 stycznymi dla krajobrazu hrabstwa Kent.

Po paru godzinach stanęliśmy wreszcie  
 w Cantenbury; stamtąd do Oswalds już nie-  
 daleko. Na stacji oczekiwał nas mój krewny  
 Konrad. Szofer w białym płaszczu i białej  
 czapce otworzył nam drzwiczki i po chwili  
 sunęliśmy szybko po znakomitej szosie.

Niebawem wjechaliśmy do parku. W głę-  
 bi widać było obrośnięty winem dom piętrowy  
 o szerokich, dużych oknach, lamany  
 dachem i wysokimi kominami. Jeszcze chwila  
 i stajemy przed gankiem, wspartym na dwóch  
 białych kolumnach. Pierwszy wita nas przy-  
 jaźnie śliczny, duży pies — Scally. Z halu  
 przechodzimy do salonu. Urządzony jest z  
 wielkim smakiem i nie ma w sobie nic sztyw-  
 nego ani oficjalnego; na stolikach dużo ład-  
 nych przedmiotów, kryształy, książki w or-  
 zamentach, na kanapce poduszki. Widzę z  
 radością kominiek, wyłożony czer-  
 woną cegłą, nad nim obraz w białej ramie,  
 na gzymsie kominka ładne drobiazgi z se-  
 wskiej porcelany.

Gdy tak się rozglądam, zaznajamiając się  
 z otoczeniem, otwierają się drzwi i wcho-  
 dzi zwolna żona Konrada, Jessie, oparta na  
 dwóch laskach. Jest bardzo tęga i ma jakiś

co brotliwy wyraz twarzy. Bardzo mi serdecz-  
 nie witam i mówię:

— Konrad czuje się dziś gorzej, ciągle  
 cierpi bardzo na artretyzm, ale zejście do  
 was niedługo.

Po chwili, która jednak wydała mi się  
 nieskończenie długim oczekiwaniem, ukazu-  
 je się Konrad; całuje mię na powitanie i  
 mówi tak miło i prosto:

— Jakże się cieszę, że cię poznałem, mo-  
 ja mała kuzyneczko.

To przyjęcie takie szczere, wzięło mnie  
 do serca. Nie chcąc stącić ani chwili  
 z mego pobytu w Oswalds, obserwuję  
 Konrada, gdy z narą rozmawia.

Twarz jego jest cierpiąca i może chwilowo  
 znudzona, lecz otzy patrzą miękko, niemal ra-  
 dośnie. Przesuwa swoje krzesło do mego, py-  
 ta o różne drobiazgi, szczegóły, wrażenia z  
 Anglii, wreszcie o moją matkę i całą rodzi-  
 nę. Przypomina sobie, że kiedyś, jadąc do  
 stryja swego na Ukrainę przez Lublin, po-  
 znał tam moją matkę; mówi, że zachował jej  
 list, pisany do niego. Słucham go i cieszę  
 się, że widzę Konrada i że czuję się tak do-  
 brze w jego domu.

Przed „lunchem” prowadzi nas Konrad  
 sam do ogrodu; jest też Jean Aubry, naj-  
 większy przyjaciel Konrada. Pracują razem,  
 lub spędzają długie godziny na rozmowie w  
 „study”.

Chodzimy po wyżwirowanych uliczkach.  
 Konrad lubi Oswalds i z miłością pokazuje  
 precudny ogródek przy domu. Na zielo-  
 nym, krótko strzyżonym trawniku, symetrycz-  
 nie rozmieszczone rabaty kwiatowe różnych

kształtów, w tle widnieją różno-  
 kątne obwódki. W sąsiedztwie rosną  
 zimozielone, prostygi i różnokształtne  
 ukladają. Dalej długi  
 strzyżony trawnik, który co roku  
 dek od niego odcięty, w żywej  
 pianie odcięty, w żywej  
 a łące.

Po lunachu, około południa, żęcej wera-  
 dzie. Konrad siedzi w fotelu, z  
 kami założonymi pod głowę. W pomina z  
 tem, że nicam jego żona, wysłała swego  
 szefa Johna, martwiącego się, że ewe oło nam  
 jest wśród starszych, prosi Jean Aubryego  
 żeby nam umilił ten pierwszy pobyt w Os-  
 walds.

— Vous-etes jeune, Jean, amusez ces de-  
 moiselles.

Przy podwieczorku, podanym na dworze,  
 przed werandą, wyręczałam Jessie, która sta-  
 cie cierpiała na ból w kolanie i nie mogła  
 ruszać się z fotela. Konrad patrzył na miłą  
 uśmiechem i cieszył się, że już czuje się u  
 niego, jak w domu.

Po podwieczorku wyjechałam, przejeżd-  
 ając rokami tego przemilego zakątka, którego du-  
 żą był Konrad. Jakże inaczej go sobie wy-  
 obrażałam! W rzeczywistości był swobodny,  
 prosty i miły, a przytem miał nieprzepak-  
 urosł; to się w nim jakąś wewnętrzną  
 siłę, którą sprawiało, że nie można było o-  
 derwać go z oczu; jego oczy chwila-  
 mi omiatały, a jednocześnie wzbudzały  
 wielkie zaufanie i szacunek. Malowała się w  
 nich przebiega ducha i wielka dobroć; zdawało  
 się, że się wpatrują w jakiś nieznamy świat —  
 to łagodne i smutne, to niezbadane, oczy,  
 których się nie zapomina!

Wkrótce skorzystałam z zaproszenia Kon-  
 rada i przyjechałam znowu do Oswalds  
 na „week-end”. Deszcz padał tego dnia, Kon-  
 rad odczuwał dotkliwie swoje cierpienie, był  
 milczący i siedział przeważnie u siebie.  
 Wieczorem jednakże wyszedł do nas, maw-  
 wił mi, że pewno się nudzimy, myślał jak  
 nas zabawić i czem nam zrobić przyjemność.  
 Sam przygotował dla nas stół w jadalni  
 pokoju do ping-ponga, przyglądał się naszej  
 grze z zajęciem, rozweselił się i rozruszał  
 już zupełnie, podnosząc lekkie pileczki ce-  
 luloidowe, uciekające wciąż po posadzce.

Tego samego wieczoru, pamiętam, rozma-  
 wialiśmy dłużej we dwoje; nie slyszałam do-  
 tąd jeszcze Konrada mówiącego po polsku,  
 gdyż, zawsze towarzyszyła nam Jessie. Byłam  
 zdziwiona, że zachował tak czysty akcent,  
 chociaż wciąż narzekał, że już zapomni-  
 ał mówić po polsku. Mówił mi wtedy o swoich  
 projektach przedkiego powrotu do kraju, o  
 tem, że chce się przenieść z całą rodziną, dłu-  
 go wspominał chłopięce swoje lata spędzone  
 na Ukrainie, gdzie się urodził i wycho-  
 wałam.

— Moje dziecko — rzekł nagle, stres-  
 czając jakby niewyraźne dotąd swoje myśli,  
 muszę cię zawieźć jutro, jeżeli będzie pogo-  
 da, niedaleko stąd na wzgórze. Zobaczysz wi-  
 dok, który bardzo przypomina Ukrainę.  
 Często tam bywam i lubię ten daleki hory-  
 zont.

Nazajutrz dzień był słoneczny i pogodny.  
 Zeszłam wcześniej na śniadanie, Konrad już  
 był w jadalni, przygrzewał właśnie na  
 srebrnej maszynie świetne kielbaski i jaja,  
 specjalność angielskiego „breakfast”.

Chciałam mu pomóc, lecz ruchem zdecy-  
 dowanym i pełnym wdzięku zarazem, z ser-  
 decznym uśmiechem, posadził mnie przy sto-  
 le i sam wszystko podawał.

Po śniadaniu pojedaliśmy na miejsce, o  
 którym mi wspominał poprzedniego dnia.

Ze wzgórza widać było dokoła zielone łąki,  
 przeplcione różnobarwnymi polami, tu i ów-  
 dzie stare drzewa i bardzo rozległy hory-  
 zont, zlewający się z niebem. Wszystko to  
 przypominało nam Ukrainę. Oczy nasze  
 spotkały się na krótką chwilę. Poczułam jak  
 bardzo Konrad mi jest blisko; wiedziałam,  
 że znam w tej chwili najszybsze jego uczu-  
 cie. Patrzyliśmy długo, milcząc, na ten wi-  
 dok tak nam drogi.

Już dawniej zauważałam, że od głębszo-  
 go zamyślenia, w jakim Konrad często popa-  
 dał, przechodził nagle do rzeczywistości, tak,  
 jakby się budził ze snu. I teraz zwrócił się  
 do mnie już z dobrym uśmiechem; ruchem



„Oswalds” — dom w którym mieszkał J. Conrad Korzeniowski w Bishopsbourne



Konrad Korzeniowski w towarzystwie Ireny Rakowskiej-Luniewskiej

energicznym, gwałtownym prawie stworzył drzewczki samochodu i rzekł krótko:

— Jedźmy do domu.

Wróciłszy w milczeniu.

Tego samego dnia po obiedzie pojednaliśmy do Lady Millais, żony (czymś) już sławnego malarza, wielkiej przyjaciółki Konrada. Tam, w uroczym wiejskim domku, w salonie w kwiaty, pod różę Crimson Rambler, przy podświetlonej lampce, wiał długo dawne swoje przeżycia z morza południowych.

Mówił prosto, jasno i tak ciekawie, że nie zauważyliśmy, jak mijają godziny. Słuchaliśmy wszyscy, wpatrzeni w niego. Wyraz jego twarzy zmieniał się pod wpływem wzajem oddalonych, a odczuwanych w tej chwili z nieminiejszą siłą, niż dawniej. Były momenty pełne grozy, inne pogodne, jasne, pełne słońca i cisy, inne znów tryskające humorem. Wtedy — oczach Konrada odbijał się komizm chwili. Śmiał się szczerze i wesoło do swoich wspomnień. Mówił po angielsku tak ładnie, rozwijając całe bogactwo tego języka. Ale akcentu cudzoziemskiego, mimo długiego przebywania w Anglii, nie stracił nigdy. Ten akcent czysto polski dodawał wiele uroku jego wymowie. Spółgłoskę W, tak niewyraźnie, prawie wcale niewymaganą przez Anglików, akcentował jak w polskim języku. Upamiętniło mi się szczególnie często używane słowo „wrong”, które od tamtądabrało dla mnie specjalnego wdzięku.

Konrad przerwał swoje opowiadanie równie nagle, jak je zaczął.

Wyjechaliśmy od Lady Millais, obdarzeni pękami ponsowych róż, przejęci jej gościnnością i wielką słodyczą, płynącą z nadzwyczajnie milej jej postaci.

Pamiętam śliczny poranek lipcowy; słońce grzało już mocno, wzdłuż strzyżonego żywopłotu kwitły w szerokiej rabacie różnobarwne zimotrwałe rośliny, powietrze przesycone było zapachem rozgrzanych kwiatów, wiał petunii spływał na zwirowaną uliczkę. Przechodziłam koło otwartego okna



„Oswald”

gabinetu Konrada, gdy usłyszałam wający mi głos. Konrad podszedł do okna i usiadł na parapecie. Rozmawialiśmy wteǳilogo. Wyczuwałam w każdym jego zdaniu, w każdej słowie do kraju, wszystkie praktyki związane były z myślą powrotu do Polski.

— Chciałbym — mówił — wrócić natychmiast do kraju; chciałbym, aby John ożenił się tylko z Polką; naucz Johna mówić po polsku. Synowie moi są tak niepodobni do mnie, nie interesują się wcale literaturą, ich zagadnienia poszły w inny kierunek, praktycznym. Nie czytali żadnej mojej książki. (Borys miał wszystkie dzieła Konrada, luki w jego opinii, starannie poukładane, oddane na światło. Był z nich dumny, ale sam nie czytał, nie miedy żadnego z nich nie czytał.)

— Nie wiem, czy to była skarga; myślę, że tylko stwierdzenie faktów. Konrad urwał na tym zdaniu, zamyslił się i milczał. Wyraz jego twarzy był niezwykle wymowny a o jego myśli niewidzące bliskiego otoczenia niepomnie koleżeńkości i czasu. Nie chciałam psuć mu nastroju swoją obecnością, więc wołno i cisło wyszłam z pokoju. Konrad nie zauważył mego odejścia. Wtedy zrozumiałam, jak dobrze to, co powiedział mi kiedyś, że nie ma przywiązania ani do miejsca, gdzie mieszka, ani do rzeczy, które posiada i że silnie najlepiej się czuł na morzu.

Rien qu'avenc un sac de blé sur mon dos.

Komiluze były popołudnia, spędzane w ogrodzie. Przed nami, na polu, przed kwiatami, ujęte w ramy żywopłotu, przesłaniał się różnymi barwami. Konrad towarzyszył nam prawie zawsze, czasami wpadał w doskonały humor, żartował, opowiadał zabawne przeżycia i zdarzenia, interesował

się czym każdy z nas w danej chwili jest zajęty, jakimś pasjansem, lub robotką, napędzał Johna, żeby nas zabawił, sam obmyślał przyjemności dla nas na cały dzień.

Ogromnie miły, serdeczny był jego stosunek do Jessie i Johna; z Borysem krótko go widziałam. Spoglądał czule i tkliwie na Jessie, którą nazywał pieszczotliwie wraz z synami Mrs. C.; starał się jej osłodzić długie cierpienia, które ją dręczyły od szeregu lat i powodowały częste operacje w kolanach. Dbał o nią bardzo. Niczym żartował sobie z Jessie i mówił:

— Ona też jest wielką literatką, napisała książkę kucharską.

Jessie interesowała się rzeczywiście temi sprawami, a ponieważ nie mogła z powodu swego kalectwa dużo się ruszać, przebywała w kuchni i wymyślała nowe potrawy. To też jedzenie w Oswalds było znakomitą, wcale nie angielskie; była to synteza najlepszych smaków gastronomicznych wszystkich narodowości.

Jednego Jessie nigdy nie robiła: nie przyrzadzała sałaty. Przy stole siedziałam zawsze obok Konrada; pierwszego dnia zauważyłam, że zdumieniem, że służący postawił przed nim sałatę i — osobno — różne do niej przyprawy. Konrad zawsze sam przyprawiał sałatę.

W czasie jedzenia często był rozmowny i czasami, jednak, zamyslał się głęboko, lub był niezwykłe zdenerwowany; nie wtedy nie mówił. Zjadała cisza, trudna do zniesienia; Konrad nerwowo, niespokojnie błaznił rękami po stole, przysuwał nakrycie, potrącał widelce i noże. Nastroj robił się wtedy bardzo przykry. Gdy ktoś z obecnych odważył się przerwać milczenie, Konrad powracał ze swej myślowej podróży i, pełen uprzejmości



Konrad Korzeniowski w towarzystwie pań: Ireny Rakowskiej-Luniewskiej i Krystyny Świeżawskiej

i nieprzepartego uroku, dostosowywał się do otoczenia.

To był ostatni mój pobyt w Oswalds, ostatecznie widzenie się z Konradem. W kilka dni później dowiedziałam się o jego nagłej śmierci.

# AUTOBIOGRAFJA CONRADA

Książka ta, wydana przed kilku miesiącami, nie wzbudziła ani w części tego entuzjazmu, jaki wywoływały kolejno wszystkie wielkie powieści Konrada. Jest to o tyle zdumienie, że autobiografia ta — jak większość życiorysów pisarzy — nie odznacza się wielką żywością ani barwnością i opowiedziane w niej fakty same dla siebie nie mająby atrakcyjne, tak, że tylko dzięki osobie głównego bohatera-autora darzymy je zainteresowaniem. Toteż obojętny czytelnik przejdzie mimo tej książki, a przeto ona tylko do tych nielicznych, którzy zawarli głębszą znajomość z twórcą „Tajfunu” i zawdzięczają mu wzruszenia i przeżycia nie tylko estetycznej natury. Dla nich stronicie te będą rewelacją wielkiego — już nie artysty lecz człowieka, który na krótką chwilę przelamał swą słynną powściągliwość i skrytość i po raz pierwszy i jedyny opowiedział o sobie samym. Z poprzedzającej tekst „Przedmowy bez ceremonij” wynika, że „Wspomnieniom” stawiano liczne zarzuty. Wytknięto im chaotyczność układu, niewykorzystanie materiału, wreszcie oschłość i obojętność względem opisywanych ludzi i spraw. Konrad broni się przed oskarżeniami, tłumaczy, że nie jest zawodowym literatem, jako marynarz zaś zawsze zachowywał pełną samowiedzę i panowanie nad sobą, i to niektórzy biorą mylnie za oschłość. Pominał jednak autor pewną rzecz zasadniczą, która od razu rozprasza owe zarzuty i wątpliwości, jako nieporozumienia.

Rzecz w tem, iż „Ze wspomnień” to typowo conradowska powieść, tylko że powieść o sobie. Jak w wielu opowiadaniach autora „Almayera”, tak i tutaj ośrodkiem dzieła jest postać, po człowieczemu ciemna i zagadkowa, i wokoło niej układają się sytuacje. Fabuła, jak zwykle u Conrada chaotyczna i spleciona, podporządkowuje się wyższemu celowi przeniknięcia i zrozumienia postaci centralnej. Ale nie można osiągnąć tego celu drogą drobnozgodowej analizy psychologicznej, bowiem „w zakresie analizy stajemy wcześniej czy później wobec Niepodobiestwa” („Ze wspomnień” str. 9). Tylko żywa wizja artysty może odsłonić prawdę o człowieku. Istnieją bowiem takie momenty demonicznie trafne, chwile rozstrzygające o całym naszym życiu, które w symbolicznym skrócie rozświetlają do głębi ciemną psychikę ludz-

ką. Wykrycie tych momentów i przedstawienie ich w pełnym bogactwie i wielostronności perspektyw jest właściwym zadaniem powieściopisarza. Tak też pojmuje swoje zadanie Konrad. W powieściach swych szuka czystej, nieskażonej teorjami moralistów, prawdy o człowieku; jako autor autobiografji stara się wydobyc z siebie wyciszonej, ludzkiej prawdę o sobie.

W życiu Conrada były dwa momenty rozstrzygające, takie, w których dotykalnie wyczuwa się tchnienie losu, rzucającego nas naoslep w kotłowisko interesów i namiętności ludzkich. Pierwszy moment — to porzucenie ojczyzny przez siedemnastoletniego chłopca, podjęcie tego mirażem oceanu. Drugi — to niemniej tajemnicze, nieoczekiwane obudzenie się pisarza w trzydziestoletnim oficerze angielskiej marynarki. Dwa te momenty wypełniają prawie w całości autobiografię twórcy „Zwyczaju”. Nie podaje nam autor szczegółowej historii swego dzieciństwa, młodości i wieku dojrzałego, pragnie tylko, by „z kart tych wyloniła się nasreszcze wizja osobista” człowieka, mimo wielu sprzeczności i tajemnic, „konsekwentnego i zrozumiałego na tle swego życia” (str. 26). Ta autobiografia jest właściwie autportretem.

Jest dosyć charakterystyczne, iż Conrad rozpoczyna opowiadania od „historji rękopisu pierwszej swej powieści. Rękopis ten wędrował wraz z autorem po świecie, aż wreszcie dotarł na Ukrainę do majątku stryja pisarza Tadeusza Bobrowskiego. Tą okrętną drogą dochodzimy do polskich wspomnień Conrada. Autor „Tajfunu” w pięknych słowach usprawiedliwia się z przypominania owych dalekich czasów. „Kiedy dzieci pisarza dorosną, to, co się wyda światu najbardziej zagadkową stroną ich natury, będzie właśnie ich nieświadomym odzewem na cichy głos tej nieublaganej przeszłości, z której i dzieło wyobraźni pisarza, i indywidualność jego dzieci biorą odległy początek” (str. 51). Niestety, same wspomnienia dzieciństwa są dość niki i blade. Wiele miejsca zajmuje nieciekawa historia żołnierza armji napoleońskiej Mikołaja Bobrowskiego, który w czasie odwrotu spod Moskwy zjadł psie mięso i tem wrył się w dziecięcą wyobraźnię. Wogóle opowiadanie obraca się w dość ciasnym kręgu spraw rodzinnych, procesów i t. p.; nuta patriotyczna pobrzmiwa wprowadzić, ale jest to patriotyzm pozbawiony dalszych horzontów, który nie rozszerza duszy i wyzerpuje się w pełnym sentymencie przywiązaniu

do rodzinnych pamiątek. Zda się, że dla Conrada poza jego rodzinnymi tradycjami Polska nie istniała. I trudno nie spostrzec, że mimo wierności i przywiązania autor „LORDA JIMA” dość chłodno odnosi się do swych tradycji, co uderza przy porównaniu z wspomnieniem pierwszego dotknięcia morza, o czem jeszcze będzie mowa.

Conrad miał świadomość tego, że wielu ludzi uważa go za zdrąpcę i renegata. Bronił się tem, że „oceniając ludzkie postęпки, należy uwzględnić to, co jest niewytłumaczalne na tej ziemi, gdzie żadne wyjaśnienie nie bywa ostatecznym” (str. 63). Któż zdoła wyjaśnić ów tajemniczy porwy, który rzucił go na morze? Ongis, jako dziewięcioletni chłopak, patrząc na mapę Afryki położył palec na białej przestrzeni, oznaczającej miejsca nieznanne i niezbadane, i przyrzekł sobie: „Kiedy dorosnę pojadę tam”. Oto jedna ze scen, wyreżyserowanych przez los, przerastających fantazję powieściopisarza. Po kilku latach w czasie alpejskiej wycieczki w towarzystwie nauczyciela, który miał wyperswadować mu szalony zamiar wyruszenia na morze, piętnastoletni młodzieniec spotkał jakiegoś angielskiego inżyniera, zatrudnionego przy budowie tunelu Sw. Gotarda. „Takiego Anglika — mówi Conrad — nie spotyka się dwa razy w życiu. Może być — według mistycznego porządku zwykłych wydarzeń — ambasadorem mej przyszłości, wysłanym aby przeważyć szalę w chwili krytycznej” (str. 69). W tym symbolicznym skrócie ujawnia się owa magnetyczna siła Anglii, która przeważyła wszystkie próby, rady i zapomnienia i wydarła Polsce syna jednej z najofiarniejszych, najbardziej patriotycznych rodzin.

Jest w tem pewna ironja, że opuszczenie ojczyzny zbiega się z najradośniejszym momentem życia Conrada, ze spełnieniem jego największego marzenia. W końcowym ustępie autobiografji opowiada Conrad o pierwszym zetknięciu się z morzem. W słowach tych, pisanych przez dojrzałego i sławnego pisarza, już od piętnastu lat przebywającego na łądzie, drga żywe wzruszenie. Dzień, w którym ręka Conrada po raz pierwszy dotknęła kadłuba angielskiego okrętu, pozostał mu w pamięci niezatartym wspomnieniem. Gdy czołno, w którym znajdował się spragniony morza młodzieniec, dobiło do okrętu, rozległy się w górze szorstkie słowa: „Look out there” („Uważaj tam”). Były to pierwsze angielskie wyrazy, z jakimi zwrócono się do Conrada. Wspomnienie tego pobudza go

\* Joseph Conrad: Ze wspomnień. Tłumaczyła z angielskiego Aniela Zagórska. Warszawa — 1934, Dom Książki Polskiej. Str. 175+1nl.



